TYDZIEŃ

Nr 41 (65) ROK II

12. X. 1947

CENA 20 ZŁ



W CZWARTĄ ROCZNICĘ BITWY POD LENINO.

DYSKUSJA O „DUSZY GEFANGENA".

UTWORY PISARZY ROSYJSKICH: W MIESIĄCU WYMIANY KULTURALNEJ POLSKO-RADZIECKIEJ

PISZĄ I RYSUJĄ:

K. A. JAWORSKI,
KAROL MAŁCUŻYŃSKI,
KAZIMIERZ MANN,
A. RAFAŁOWSKI,
MAREK SADZEWICZ,
JAN SKULSKI,
GRZEGORZ TIMOFIEJEW,
M. WALENTYNOWICZ
JERZY WYSZOMIRSKI,
JULIAN ŻEBROWSKI

NASZA OKŁADKA



Rys. Kazimierz Mann
OWOCOBRANIE

Tak i nie

W Indonezji

NA Jawie i Sumatrze w oczekiwaniu na komisję badawczą konsulów zapanowało przejściowe uspokojenie. Wojska holenderskie wprawdzie nie zupełnie stosują się do zalecenia ONZ o zaprzestaniu działań wojennych, ale chwilowo do większych walk nie dochodzi.

Warto przypomnieć, z jakiego uzbrojenia korzystają Holendrzy: tanki model Sherman i Stuart, samoloty B-25, P-51, P-40, karabiny i broń maszynowa „made in USA". Mundury z dostaw amerykańskich, a nawet wyżywienie amerykańskie (podobno jeszcze z dostaw Lend-Lease).

(p)

Wojna prasy z posłami

W parlamencie francuskim doszło do oryginalnej walki między sprawozdawcami parlamentarnymi a posłami. Dziennikarze wysoce niezadowoleni z wystąpień szeregu posłów przeciwko prasie i działalności poszczególnych sprawozdawców, wywiesili na czarnej tablicy nazwiska tych posłów i... kary milczenia nałożone na nich. Milczenie obowiązuje prasę, a nie posła. W ciągu danego czasu żadna gazeta nie zamieści wzmianki z nazwiskiem skazanego posła.

Przypuszczać należy, że oryginalna wojna zakończy się szybko rozejmem.

(p)

Zmierzch Encyklopedii Brytyjskiej?

SŁYNNA na cały świat Encyclopedia Britannica przeszła w czasie wojny w posiadanie amerykańskiego domu wydawniczego i ukazuje się obecnie pod patronatem uniwersytetu miasta Chicago.

Przeprowadzka owianej duchem tradycji Wielkiej Brytanii na teren amerykański nie wyszła encyklopedii na dobre. Niejaki Joseph McCabe wystąpił ostro przeciwko nowej redakcji, twierdząc, że w ostatnim czternastym wydaniu encyklopedii wprowadzono zmiany i poprawki niezgodne z duchem obiektywizmu, jaki cechował zawsze Encyclopedia Britannica.

(p)

Biedna Alaska

ZŁOTO Klondyke przyczyniło się do wzbogacenia Stanów Zjednoczonych, ale nie przyniosło dobrobytu stałym mieszkańcom Alaski. Powszechnie panuje mniemanie, że z chwilą wyczerpania bogatych złóż złota, Alaska stała się napowrót biednym kopciuszkiem w bogatej rodzinie amerykańskiej. Tymczasem jest faktem, że terytorium zakupione w swoim czasie od cara rosyjskiego za 7.200 dolarów daje po dziś dzień roczny dochód 50 milionów dolarów z połowu łososia na wodach przybrzeżnych. Tragedią Alaski jest jednak to, że cała ta olbrzymia suma wpływa w całości do portfeli ludzi zamieszkałych poza Alaską. Nawet trzy czwarte wynagrodzeń za pracę przy połowach i w fabrykach konserw dostaje się do rąk sezonowych robotników.

Alaska, kopciuszek Ameryki, nie doczekała się jeszcze udzielenia praw samodzielnego stanu. Jest dotychczas tzw. „terytorium" i nie posiada nawet samorządu. (p)

Za kulisami pewnego „Głosu"

PRZED niedawnym czasem rządowa sieć radiowa Stanów Zjednoczonych zmieniła swoją urzędową nazwę „GŁOS AMERYKI" na „Głos Stanów Zjednoczonych", a to rzekomo dla większej ścisłości.

Słuchacze programów tego „Głosu" żywią na ogół przekonanie, że mają do czynienia z radiostacją mającą prawo do reprezentowania całego narodu, a przynajmniej rządu. Jak podaje „New Republic", stan faktyczny jest zupełnie inny. 70 procent materiału programowego jest dostarczane przez prywatne radiostacje amerykańskie „Columbia" i „National", które są całkowicie zależne od wpływów za audycje reklamowe wielkiego kapitału.

(p)

Tajemnica Don Louis

GDY koło umowy, jaką rząd grecki zamierzał zawrzeć z Panamerykańskim Towarzystwem Clearingowym, podniosły się głosy oburzenia wśród Amerykanów pochodzenia greckiego. Prezes tego towarzystwa niejaki Fleming oświadczył, że głównym motorem sprawy jest Don Louis de Bourbon, syn byłego króla hiszpańskiego, Alfonsa XII i pewnej damy dworu. Don Louis, znany jeszcze sprzed wojny jako organizator wątpliwej sławy przedsiębiorstw handlowych i sympatyk Mussoliniego, przebywa obecnie w Atenach, gdzie pilnuje umowy, która ma zapewnić prawo bezcłowego przywozu maszyn budowlanych i surowców i eksterytorialność Panamerykańskiego Towarzystwa Clearingowego, które będzie jedynym agentem finansowym i importowym działającym w imieniu rządu greckiego. Towarzystwo może sprowadzić nieograniczoną liczbę pracowników cudzoziemskich, nie jest obowiązane do przestrzegania greckiego ustawodawstwa o ochronie pracy, nie płaci podatków i może wydawać i rozpowszechniać wszelkiego rodzaju wydawnictwa.

Wzamian za to Towarzystwo wyjedna na nowojorskim rynku pieniężnym 100-milionową pożyczkę, której zresztą nie wypłaci Grekom w dolarach, lecz jedynie rozliczy w taki sposób, że będzie posiadało całkowitą kontrolę nad poczynaniami finansowymi rządu greckiego.

Tygodnik nowojorski „New Republic" twierdzi, że nawet umowy zawierane przez słynną Wschodnio-Indyjską Kompanię nie mogą się równać z transakcją, którą zawiera rząd grecki. (p)

Jeszcze o Zagłębiu Ruhry

PLANY odbudowy przemysłu niemieckiego w strefach zachodnich stały się przyczyną poważnego zaniepokojenia wszystkich sąsiadów. Oto jak plan ten przedstawia się w porównaniu z gospodarką francuską:

	Niemcy		Francja	
Stal	10.700.000	ton	6.186.000	ton
Samochody	160.000	szt.	201.680	szt.
Ciężarówki	24.100	szt.	61.500	szt.
Chemikalia	200	milionów	60	milionów
Obrabiarki	45.000	szt.	35.000	szt.

Ta ostatnia pozycja jest tym groźniejsza, że Niemcy zachodnie będą dysponowały najnowszymi obrabiarkami, podczas gdy przemysł francuski ma park maszynowy liczący przeciętnie 18 lat. (p)

Spółdzielnia naftowa

W stanie Kansas (USA) spółdzielczość obchodziła oryginalny jubileusz dwudziestolecia działalności na odcinku najbardziej opanowanym przez monopolistyczny kapitał: w kopalnictwie i handlu naftą.

Zaczęło się skromnie od tego, że sześć małych spółdzielni zebrało kapitał 3.000 dolarów, aby zapewnić swym członkom dostawę paliwa do traktorów po cenach konkurencyjnych. Po dwudziestu latach związek spółdzielni stał się właścicielem 700 szybów, rurociągu i trzech rafinerii. Obrót w tym roku osiągnie przypuszczalnie 40 milionów dolarów.

Na marginesie tego jubileuszu stwierdzono charakterystyczną dla stosunków amerykańskich praktykę prasową umieszczania ogłoszeń spółdzielni w najmniej poczytnej części wielostronnicowych działów reklamowych. Ponieważ to jedynie opóźniało rozwój spółdzielni, wielkie przedsiębiorstwa rozpoczęły kampanię prasową przeciwko ulgom podatkowym, z jakich korzysta spółdzielczość. Kampania ta jednak przyczyniła się do rozpowszechnienia idei spółdzielczej w większym stopniu, niż akcja samych spółdzielców.

(p)

Złudna sława

AKTOR angielski, Clifton-James, wszedł do historii jako sobowtór marszałka Montgomery. W przeddzień inwazji dokonał on fikcyjnej inspekcji Gibraltaru i w ten sposób przyczynił się do zmylenia wywiadu niemieckiego.

Była to niezmiernie trudna rola i przygotowanie do występu trwało szereg tygodni. Wiadomo, że Clifton James wywiązał się z powierzonego zadania ku zadowoleniu władz wojskowych. Zdawałoby się, że aktor stał się osobistością popularną i że nie będzie miał trudności w powrocie na normalną scenę. Fortuna, lubiąca płatać figle, tym razem okazała się szczególnie nieżyczliwa. Jak podaje prasa brytyjska, Clifton-James od dłuższego czasu nie może znaleźć pracy.

(p)

Ostrze na ostrze

FAIR PLAY

Przejrzyjmy dodatki sportowe do pism codziennych. Przejrzyjmy pisma sportowe. Spenetrujmy nasze boiska i stadiony. Tu i tam pobili się gracze — publiczność zachowała się skandalicznie — pobito sędziego...

Ostatnio w Sosnowcu zdarzył się wypadek, nad którym nie można przejść spokojnie do porządku dziennego. W wyniku prowokacyjnego zachowania się porządkowych jednego z klubów sportowych na meczu piłki nożnej AKS—RKU doszło do tak ostrych starć, iż spowodowało to śmierć jednej osoby i ciężkie poranienie kilkudziesięciu osób. Winni zajścia zostali ukarani zespołowo i indywidualnie.

Pojedyńczy wypadek został zlikwidowany. Sądzę jednak, że nie byłoby zdrowo i pożytecznie poprzestać na tym lakonicznym stwierdzeniu. Sprawa ma bezwzględnie szerszy aspekt. Kultury życia sportowego. Więcej — kultury współżycia między ludźmi w ogóle.

*

Dość często lubimy tracić czas na próżno. Mianowicie — lubimy pasjami zaglądać przez dziurę w płocie do ogródków naszych bliższych i dalszych znajomych, zachwycając się ich stylem życia i osiągnięciami. Usiłujemy nawet czasami bezmyślnie naśladować sposób chodzenia, mówienia i jedzenia tych naszych znajomych. Oczywiście nic rozsądnego z tego nie wychodzi. Raz — że nie każdy klimat i nie każdej transplantacji dobrze służy, a dwa — że naśladować chcielibyśmy często same tylko formy, nie wnikając w ich treść.

Np. słyszy się często pochwały sposobu, stylu obcowania między sobą ludzi w Anglii. Chodzi o tzw. „dżentelmeński styl". Tymczasem przypomnijmy sobie, że w Anglii istnieje stara i wielce szanowana zasada sportowa „fair play" — czystej gry, która, obowiązując w sporcie, bez wątpienia nie pozostaje także bez wpływu na sposób obcowania z ludźmi. Uczciwa, czysta gra — a więc nikt z pewnością nic ukradnie w Londynie roweru pozostawionego bez opieki na ulicy.

Szkoda oczywiście, iż tej domowej „fair play" Anglicy nie stosują na wynos w swojej polityce zagranicznej. No, ale to już inna kwestia.

*

Zresztą sportowe „fair play" nie jest monopolem Anglików i przestrzegane jest na różnych długościach i szerokościach geograficznych.

Szlachetne bowiem współzawodnictwo w sprawności mięśni i zręczności ruchów zdrowego, mocnego człowieka, byłoby beznadziejnym, niebezpiecznym, ponurym widowiskiem, gdyby nie miało na celu wychowywania ludzi o zdrowych ambicjach przełamywania także innych trudności — życiowych — ludzi, umiejących panować nad sobą i szanować ludzką godność współzawodnika. Zasada — żadnych niedozwolonych chwytów, żadnego szachrajstwa, nacisku szantażu, ubocznych interesów czy niepohamowanej brutalności. To jest „fair play".

Gdy się o tym zapomina, grozi zwyrodnienie sportu, zdziczenie młodzieży, którą złe zwyczaje panoszące się na boiskach zamiast uśmiechu radości nauczą grymasu zniechęcenia lub co gorsza — nienawiści.

Nie bez winy jest tu demoralizatorski osad przeżyć wojennych, który ciągle jeszcze fermentuje, wciąż jeszcze zatruwa atmosferę naszej kultury współżycia i obcowania z ludźmi. Należy uczynić jednak wszystko, by te sposoby oddziaływania na wychowanie społeczeństwa, które są do tego celu predystynowane, użyte były właściwie.

Nie znaczy to, byśmy potępiali w czambuł nasz światek sportowy. Nie wolno jednak lekceważyć tych niebezpiecznych objawów, które od czasu do czasu wychodzą na światło dzienne.

Pięść w rękawicy bokserskiej jest elementem sportu. Natomiast prawo pięści, w dodatku gołej, lądującej na głowie drugiego współzawodnika — jest wrogiem sportu.

AVIS

tak i nie STRONA 4

ASPEKTY JEDNEJ BITWY

Jan Skulski
Ilustr. A. Rafałowski

W CZWARTĄ ROCZNICĘ BITWY POD LENINO

Wiele, zbyt wiele, mamy w naszych dziejach wojennych bitew bohaterskich, często zwycięskich, które okryły chwałą nasz oręż. Ale mało, zbyt mało mamy w naszej historii bitew mądrych i owocnych, które by okryły chwałą naszą mądrość polityczną. Mało kto prześcignął, niegdyś czy dziś, nasze wojsko w męstwie i brawurze, ale też mało kto przelał tyle krwi w bitwach, których owoce spożywali inni. Pięknie biliśmy się pod Samosierą, jak nikt umieraliśmy pod Monte Cassino, ale krew polska starczyła na „amaranty zapięte pod szyją", na „czerwieńsze bo z polskiej zrosły krwi" maki pod Monte Cassino — w rzewnych naszych pieśniach.

Bitwę, której czwarta rocznica mija 12 — 13 października, zaszczytnie wyróżnia od innych bitew przeszłości, nie tyle jej znaczenie czysto wojskowe — chociaż nie należy i tego aspektu niedoceniać, — nawet nie męstwo i brawura żołnierzy — chociaż była ona wzorem tych cnót wojennych — ale wyróżnia ją widoczna dziś jej słuszność historyczna, sprawdzona dziś jej mądrość polityczna.

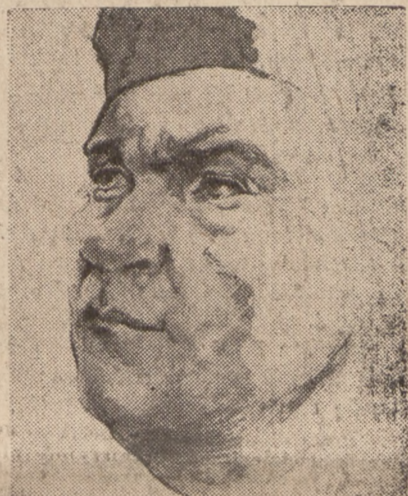
Aspekty bitwy pod Lenino przynoszą zaszczyt zarówno naszemu orężowi i naszemu rozumowi.

ASPEKT PIERWSZY

Któż z Polaków w kraju czy na obczyźnie nie doceniał w latach wojny i okupacji konieczności porozumienia i sojuszu polsko - radzieckiego? Zdaje się, że wśród patriotycznych kół chyba nikt! Rozumiał to wielki i tragiczny generał Sikorski, choć to zrozumienie nie zawsze szło w parze z umiejętnością praktycznej realizacji tej idei, za co też, między innymi, zapłacił swym tak cennym dla Polski życiem.



Gen. Świerczewski



Gen. Kiniewicz

Było to zadanie wielkie i trudne. Ciążył jednak na nim balast prawdziwych i urojonych krzywd, wiekowych nieporozumień, głębokich psychicznych kompleksów i urazów, przestępnie jątrzonych i podsycanych w latach pierwszej niepodległości przez klikę sanacyjną. Nie porachunków, lecz pojednania nam w ten groźny czas trzeba było. Ale ci, którym ironia losu złożyła w ręce to wielkie i trudne zadanie, nie tylko nie umieli, ale z całego serca, z całej ziej woli nie chcieli dokonać.

Sosnkowski w Londynie, Matuszewski w Waszyngtonie, Pełczyński w kraju (onże „Grzegorz" szef sztabu Bora, który w ubiegłym roku, w rocznicę powstania, pisał w emigracyjnym „Słowie Polskim" „gdyby powstanie nie było miało charakteru antyrosyjskiego, byłoby ono zaprzeczeniem ducha naszych dziejów...") i w końcu nieszczęsny Anders w samej Rosji, dusili, choć jeszcze słaby, ale coraz jaśniej płonący płomyk zgody.

W najgorętszych dniach Stalingradu Anders wywiódł polską armię z Z.S.R.R. w pustynne piaski Persji, odbierając żołnierzom prawo walki z Niemcami o Polskę, by później ich krwią tak hojnie szafować na drogach, które być może prowadziły do zwycięstwa, ale nie prowadziły do Polski.

Świadomie i celowo zniweczył on wielką historyczną szansę, którą łatwowierny generał Sikorski złożył w jego niepowołane ręce.

Smutnej sławy szef „dwójki" Andersa płk. Bąkiewicz na odprawie dowódców dywizji w Tatiszczewo powiedział: „Jeśli macie niewygodnych ludzi, przyślijcie ich do mnie — Wołga ich wszystkich przyjmie".

W Wołdze, w Tamizie, w Wiśle chcieli sanacyjni pogrobowcy utopić ideę zgody polsko-radzieckiej i ludzi, którzy chcieli ją realizować. Był to drugi swego rodzaju wrzesień, w którym Anders ponownie zmarnował wielką sprawę i dobrych ludzi.

Trzeba było za wszelką cenę ratować sprawę i ludzi. Powstanie Pierwszej Kościuszkowskiej Dywizji i jej czyn pod Lenino tego właśnie dokonały.

Był to wielki przełom, który na zawsze pozostanie zasługą Dywizji Kościuszkowskiej.

Była to bodajże od Grunwaldu pierwsza bitwa, w której żołnierz polski stanął twarzą i karabinem zwrócony na zachód przeciw Niemcom, ramię przy ramieniu z żołnierzem narodów Związku Sowieckiego.

To jest pierwszy i bodajże najcenniejszy aspekt bitwy pod Lenino.

ASPEKT DRUGI

W jednej z ziemianek pod Lenino, nie pamiętam już którego pułku Dywizji Kościuszkowskiej, wisiał plakat propagandowy, wykonany niezgrabną ręką żołnierza, na którym czerwoną linią połączone były dwa kółka; pod jednym widniał napis Lenino, pod drugim Warszawa. a u dołu był napis: „Od Lenino do Warszawy jest tylko 850 km".

Żołnierze przystawali przed tym plakatem, patrzyli, miarkowali i z dumą i nadzieją w głosie mówili: „850 km. — bagatela, będziemy tam niedługo".

(Ciąg dalszy na str. 5)



Do wojska — pierwsze grupy do ewidencji

tak i nie

KTO DA WIĘCEJ?



Rys. E. Bartłomiejczyk

RYNEK STAREGO MIASTA

Oryginał tego rysunku prof. Bartłomiejczyk przeznacza na sprzedaż, a sumę za to uzyskaną na odbudowę Stolicy.

Do dnia 15 bm. oczekujemy na zgłoszenia, które prosimy przesyłać na adres „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8. Rysunek przypadnie ofiarodawcy najwyższej sumy.

Czy zwierzęta cierpią na ból zębów?

SĄDZIMY przeważnie, że różne trapiące nas dolegliwości są przywilejem jedynie rodzaju ludzkiego w ogóle, a ras cywilizowanych w szczególności. Jest to mniemanie fałszywe. Spotykamy je nie tylko u ludzi, ale także i wśród zwierząt.

Na ból zębów zapadają również zwierzęta domowe i dzikie, żyjące na wolności i w ogrodach zoologicznych. Najczęściej na tę chorobę zapadają słonie indyjskie. Kapłani indyjscy posiadają od wieków, przechodzący z pokolenia na pokolenie sekret leczenia tej choroby u słonia. Polega on na tym, że w miejsce bolące przykłada się zwierzęciu maści z ziół, zbieranych w dżungli. Słoń z wdzięcznością poddaje się takim zabiegom, które mu przynoszą natychmiastową ulgę. Lekarstwo jednak nie zawsze jest pod ręką, wówczas słonia izoluje się w oczekiwaniu, że ból sam przejdzie. Biada człowiekowi, który ośmieliłby się wtedy zbliżyć do niego. Oszalałe z bólu zwierzę nie oszczędza nawet samego dozorcy, z którym jest zaprzyjaźnione. Dosięga go swoją trąbą i rozmiażdża momentalnie.

Ciekawą jest rzeczą, że słonie, cierpiące na ból zębów, nie atakują nigdy swych towarzyszy ze stada, lecz rzucają się na człowieka lub inne zwierzęta, napotkane na drodze. Uczeni zoologowie przypisują to „instynktowi społecznemu" słoni, który nie pozwala im atakować swych towarzyszy. Oddalają się wtedy od stada i postępują za nim w pewnej odległości, znosząc cierpliwie ból. Myśliwi nazywają takie słonie samotnikami i unikają spotkania z nimi. Nie zawsze się to im udaje i niejeden myśliwy poniósł z tego powodu straszną śmierć.

Słonie zdrowe dają zdaleka znać o sobie rykiem młodych, trzaskiem gałęzi, deptanych ciężkimi stopami. Słonie cierpiące na ból zębów, kryjące się samotnie w dżungli, nie dają znaku swej obecności. Myśliwy, który ujrzy go niespodzianie nie ma czasu strzelać ani uciekać. Zwierzę rzuca się na niego z błyskawiczną szybkością i po chwili z człowieka zostaje tylko krwawa, bezkształtna masa.

W czym leży źródło różnicy płci?

KWESTIA ta od bardzo wielu już wieków zajmowała ludzkość.

Anaxagoras, Arystoteles, Hipokrates, Demokrytes, nawet Pliniusz zajmowali się tą sprawą, wysuwając cały szereg poglądów i hipotez.

W średniowieczu sławny teolog Albert Wielki zalecał matce, która chciała urodzić syna, spożycie wnętrzności zająca zmieszanych z winem, zaś gdy chodziło o córkę, spożycie wnętrzności młodej świni też zmieszanych z winem.

Uczeni naszej epoki zajmują się bardzo gorliwie tym zagadnieniem. Najsławniejszym wśród nich był bez sprzecznie profesor uniwersytetu wiedeńskiego, dr Schenk, który twierdził, że źródło różnicy płci leży w odżywianiu matki. Żona jego według wskazówek męża, miała urodzić sześciu synów, jednego po drugim. Książę austriacki, którego żona od 19 lat rodziła tylko same córki, zwrócił się do dra Schenka w r. 1896 o poradę. Uczony przepisał specjalne odżywianie i szczęśliwemu księciu urodził się syn. Według recepty dra Schenka, odżywianie to powinno zawierać jak najwięcej pokarmów białkowatych, a zatem mięsa, ryby itd.

Wielka liczba uczonych odniosła się jednak do tych przepisów sceptycznie, tak, że kwestia w tej sprawie, pozostała do dziś dnia niewyjaśniona.

Król Ludwik Filip hołdował przepisom rabinackim, utrzymującym, że dziecko będzie płci męskiej, jeśli namiętność żony jest większa niż męża i odwrotnie, większy sentyment męża powoduje urodzenie dziecka płci żeńskiej.

Napoleon I zalecał kobietom, chcącym urodzić synów, codziennie pić trochę czystego wina. **(F.)**

Kosmetyka w starożytności

ŻADEN naród nie zwracał na piękno i harmonię ciała takiej uwagi, jak starożytni Grecy.

Grecy uprawiali kult piękności, więc i kobiety musiały być piękne jak boginie. Co było zaletą tej piękności?

Wzrost wysmukły, gęste, połyskujące włosy, skroń wąska i miłe w spojrzeniu, błyszczące oczy — oto cechy „kandydatki na boginię".

Piękne Greczynki, posługiwały się całym arsenałem najrozmaitszych kosmetyków, nie mniej wykwintnych i drogich jak dziś. Nie tylko płeć piękna ale i brzydka u Greków i u Rzymian nie gardziła pudrem, a nawet różem. Szminka była niegdyś bardzo rozpowszechniona wśród obojga płci. I co najciekawsze — za dobrą uważano tylko tę szminkę, która była sporządzona między innymi z ludzkiej śliny...

Brwi zrośnięte uważa się i dziś za oznakę gwałtownego temperamentu u danego osobnika. Specjalnie dbano o to w starożytności, aby cechę tę, uwydatnić. Kto brwi zrośniętych nie posiadał, przeprowadzał specjalny zabieg u cyrulika, który mu je przyprawiał.

Specjalną uwagę zwracano na połysk skóry. W tym celu sprowadzano lepsze oliwy z zagranicy, gorsze fabrykowano w kraju.

Przy kąpielach do wody dosypywano natronu lub sodu, by wywołać podrażnienie skóry.

Na noc piękne panie i mniej piękni panowie zakładali sobie maski z ciasta dla upiększenia cery. Rano starannie zmywano ślady tych masek i pudrowano twarz.

Panie kąpały się przeważnie w mleku oślic. Przed południem przeprowadzały pielęgnację rąk i nóg — tych ostatnich przede wszystkim, boć przecież pończoch nie noszono, by pod nimi ukryć wszelkie braki lub wady. Dobrą stroną tych wszelkich pielęgnacyj było to, że nie znano wcale fałszywych zębów, włosów itd., tak częstych dziś u nas — nawet u mężczyzn.

Satyrycy rzymscy, którzy podpatrywali to, zbyt gorliwe pielęgnowanie się „ludzi współczesnych", uważali, że nie jedna piękność rano, przed toaletą, podobna była do pawiana lub innego ze zwierząt z małpiej rodziny, a dopiero potem „piękniała" gwałtownie. A najciekawsze, że nie jedna z pięknych pań, uchodzących za 22-letnie dziewczątko, by wała już przekwitłą 50-letnią matroną.

Pozory mylą.

Oto są pewne rysy świata starożytnego. Dziwne, że w tych rysach dopatrzeć się możemy wielu cech współczesnych. Brak może masek na twarze i kąpieli z mleka oślic.

Za to zapewne są inne rzeczy.

Ale — o tym się nie mówi.

Wdzięczny słoń

PEWIEN myśliwy angielski napotkał w dżungli ogromnego słonia. Zdrętwiały z przerażenia Anglik zamierzał uciekać, gdy nagle spostrzegł, że słoń kuleje. Okazało się, że w jego nodze sterczała drzazga, której słoń nie mógł się pozbyć. Litościwy Anglik przezwyciężył strach, zbliżył się do olbrzyma i wydobył drzazgę.

Od tego czasu upłynęło kilkanaście lat. Nasz myśliwy przypadkowo znalazł się w wędrownym cyrku, gdzie między innymi podziwiał niezwykłe akrobacje wielkiego słonia indyjskiego. W pewnym momencie słoń wśród tysiąca widzów odkrył swego wybawcę i wyciągnął doń trąbę...

Publiczność zamarła ze strachu, a nasz myśliwy z wielkiego przerażenia zemdlał. Gdy odzyskał przytomność, znalazł się w loży. Początkowo nie mógł zrozumieć, jakim sposobem z parteru dostał się do loży. Później zrozumiał. Oto wdzięczny słoń w dowód wdzięczności za wyświadczoną mu przed kilkunastu laty przysługę trąbą przesadził go delikatnie z tańszych miejsc parterowych — do loży. **(F.)**

Nic w naturze nie ginie

UCZENI stwierdzili już dawno, że podczas myślenia zachodzą w mózgu procesy elektryczne. Za pomocą różnych doświadczeń zdołano fale, wychodzące z mózgu, uczynić słyszalnymi a nawet widzialnymi.

Niedawno uczony George Erila przeprowadził doświadczenie, które zademonstrował na kongresie lekarzy w Nowym Jorku. Pod dużym dzwonem szklanym ułożył spreparowany mózg cielęcy, uprzednio poddany działaniu różnych chemikaliów. Gdy zgaszono w sali światła, mózg zabłysnął niesamowicie bladozielonkawym światłem.

Po zbadaniu substancyj członkowie kongresu doszli do wniosku, że nic one ale sam mózg wydzielał owe tajemnicze światło.

Doświadczenie Erila da się wyjaśnić w następujący sposób. Zwierzęta czerpią energię życiową przeważnie ze świata roślinnego. Jak wiadomo, roślina żywi się chemikaliami, które odpowiednio przekształca przy pomocy światła słonecznego. Te same promienie słoneczne, wchłonięte kiedyś przez roślinę i spożyte wraz z nią przez ciele, w końcu zostały znów wydzielone przez mózg martwego zwierzęcia.

(F)

Jeszcze jeden rekord

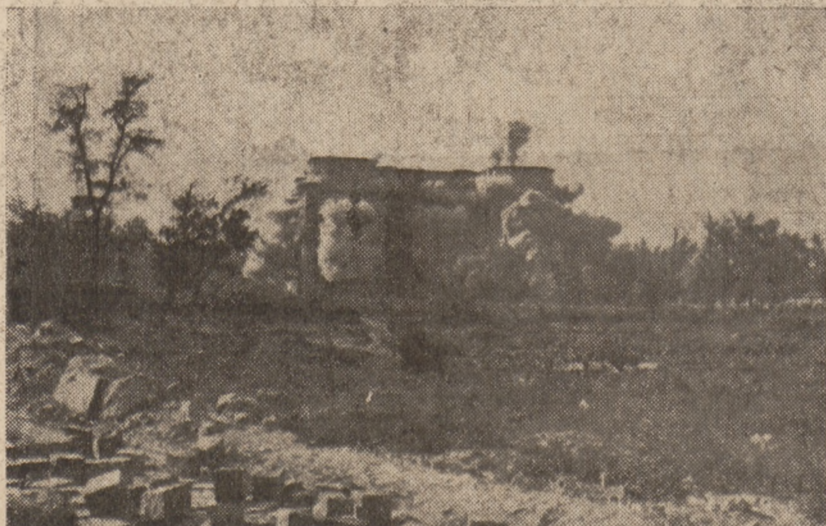
GNIAZDEM gry, słynnym na cały świat nie jest już ani Monte Carlo, ani Macao. Rekord pobiło amerykańskie miasto Reno. Żadnych szyków, żadnych skrępowań, żadnych ograniczeń — wstęp na salę gry wolny dla wszystkich. Tak samo dobrze można zaryzykować sto dolarów, jak i dziesięć tysięcy. Oficjalnie przez szulernie Reno przepływa rocznie suma piętnastu milionów dolarów. Jednak między danymi oficjalnymi a rzeczywistością istnieje niemała różnica, chociaż nikt nie jest w stanie stwierdzić, jakie bajońskie sumy przewalają się przez zielone stoliki Reno — nowego amerykańskiego miasta - rekordu.

Nie jest to zresztą rekord jedyny. Dwie bowiem pasje istnieją w Reno: gra i rozwody. Tych ostatnich było w Reno w roku ubiegłym jedenaście tysięcy sześćdziesiąt (w pierwszym kwartale 1947 roku: trzy tysiące dwieście dwadzieścia jeden). Na szczęście jednak nie ma w Reno tak wiele rozwiedzionych par, gdyż zawartych tam małżeństw jest jeszcze więcej — w roku 1946 zawartych ich zostało dwadzieścia osiem tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt! Trzeba dodać ,że małżeństwo zawiera się w Reno w temple amerykańskim: w ciągu 24-ch godzin!

— Ot, wesołe miasteczko!

8000 FUNTÓW MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH

NIE ZDOŁAŁO ZBURZYĆ BERLIŃSKIEGO SCHRONU PRZECIWLOT.



Olbrzymi niemiecki schron przeciwlotniczy, koło Tiergarten w Berlinie zaledwie się trochę porysował i zrobiło się w nim parę dziur po wybuchu ośmiu tysięcy funtów materiału wybuchowego T. N. T., który nie zburzył nawet jednego rogu i schron stoi jak stał.
Tłumy Niemców śmiały się widząc bezowocne usiłowania brytyjskich saperów. Poprzedni ładunek 50.000 funtów materiałów wybuchowych niewiele uszkodziły gigantyczną budowlę.

ASPEKTY JEDNEJ BITWY

(Dokończenie ze strony 3).

Tkwił w tym głęboki sens, że spod Lenino prowadzi prosta i naj krótsza droga do Warszawy, do kraju, że Kościuszkowcy pierwsi połączą się z walczącym narodem. Wypadki potwierdziły tę oczywistą lecz przez Andersa ukrywaną prawdę. Znam dwóch braci, ludzi prostych, z których jeden wstąpił do armii Andersa w ZSRR, drugi do Dywizji Kościuszkowskiej (mogło być też odwrotnie). Pierwszy jest dziś w PKPR w W. Brytanii, wegetuje w rozterce, doznaje upokorzeń, murem kłamstw i gróźb oddzielony jest od kraju. Drugi jest sztabowym oficerem, kształci się, oddycha i rośnie w wolnej Ojczyźnie. To jest symbol.

Anders wywiódł żołnierza na irańskie manowce; Lenino doprowadziło żołnierzy prostą i krótką drogą do kraju.

To jest drugi ważny aspekt bitwy pod Lenino.

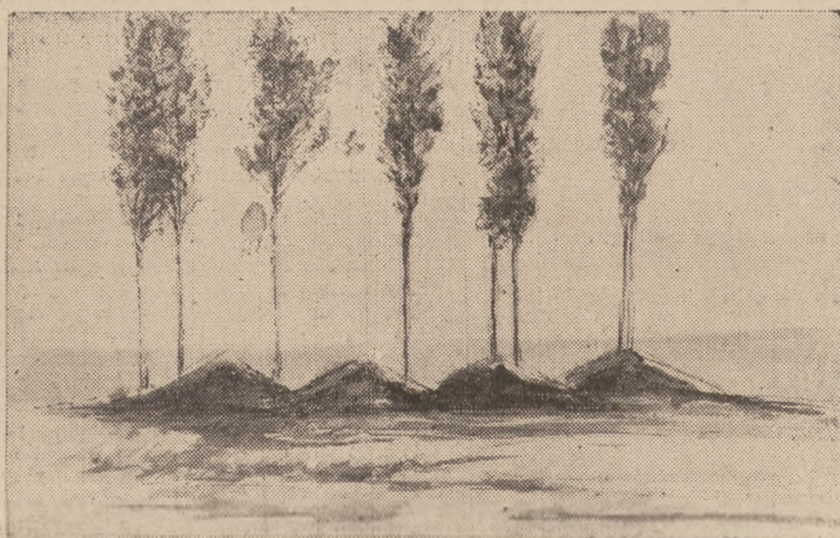
ASPEKT TRZECI

Byłoby niesłuszne przeceniać operacyjno - wojskową rolę bitwy pod Lenino — była to rzecz jasna w stosunku do olbrzymiego kipiącego walkami frontu wschodniego kropla w morzu. Ale byłoby wielkim błędem niedoceniać tego aspektu bitwy pod Lenino.

Dywizja otrzymała zadanie nie zwykle ważne pod względem strategicznym i skomplikowane pod względem operacyjnym. W ramach 33-ej armii radzieckiej dywizji postawiono zadanie „nadgryzienia" niemieckich pozycji obronnych w rejonie Lenino. Rejon ten stanowi przedpole Orszy, węzła kolejowego na Dnieprze, leżącego około 100 km. na zachód. Tędy biegła tzw. „rokada dnieprzańska" — linia komunikacyjna na zachodnim brzegu Dniepru, łącząca na tym odcinku Ukrainę, Białoruś i Litwę najbliżej linii frontu i stanowiąca najwygodniejszą wówczas dla Niemców drogę zaopatrzenia frontu. W ciągu 12 i 13 października oddziały dywizji prowadząc nieprzerwane boje przerwały nieprzyjacielską linię obrony. Niemcy — szczególnie po zorientowaniu się, że mają przed sobą polską dywizję — stawiali zaciekły opór i w drugim dniu boju rzucili na ten stosunkowo mały, bo dwukilometrowy odcinek frontu, zmasowaną artylerię i lotnictwo. Dość wspomnieć, że w ciągu tych dwu dni walk nieprzyjaciel dokonał przeszło 1.000 samoloto-wylotów.

Kościuszkowcy, w sposób wzbudzający podziw oddziałów sowieckich, sąsiadujących z dywizją wykonali postawione im zadanie. Według oceny dowództwa sowieckiego cała dywizja, jak też oddzielni żołnierze zademonstrowali swe wysokie umiejętności i wzorową postawę, potwierdzając opinię o bohaterstwie i brawurze żołnierza polskiego.

To jest trzeci i niemniej zaszczytny aspekt bitwy pod Lenino.



Miejsce wyjścia I Dywizji

ASPEKT CZWARTY

Sprawa, o której będzie mowa niżej, to aspekt nie ogólny, lecz rzec można, lokalny. Nie należy go jednak pomijać milczeniem, bo zaciążył on w latach 42/43 na losach tysięcy Polaków, których losy wojny rzuciły na teren ZSRR. Gdy tworzyła się armia Andersa, z wszystkich najdalszych zakątków ZSRR ciągnęli do niej polscy chłopcy, dziewczęta, mężczyźni — ba starcy, zostawiając matki, żony, dzieci. Tylko wybrani, — sanacyjne wielkości, protegowani oficerowie — mieli przy sobie swoje rodziny. Gdy więc rozeszła się wśród żołnierzy wiadomość o tak zwanej ewakuacji do Iranu — powstało zamieszanie, spowodowane troską żołnierzy o swe rodziny.

Rodziny odległe niekiedy o tysiące kilometrów na wieść o wyjeździe armii rzucały pracę, niekiedy jakiś dobytek i na gapę, bez odpowiednich dokumentów, ruszały w drogę. Można sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji znalazła się większość z nich, gdy się zważy z jednej strony odległości, z drugiej zaś, że działo się to w okresie Stalingradu, gdy wszystkie środki materialne kraju — transport, żywność itd. absorbowane były przez front.

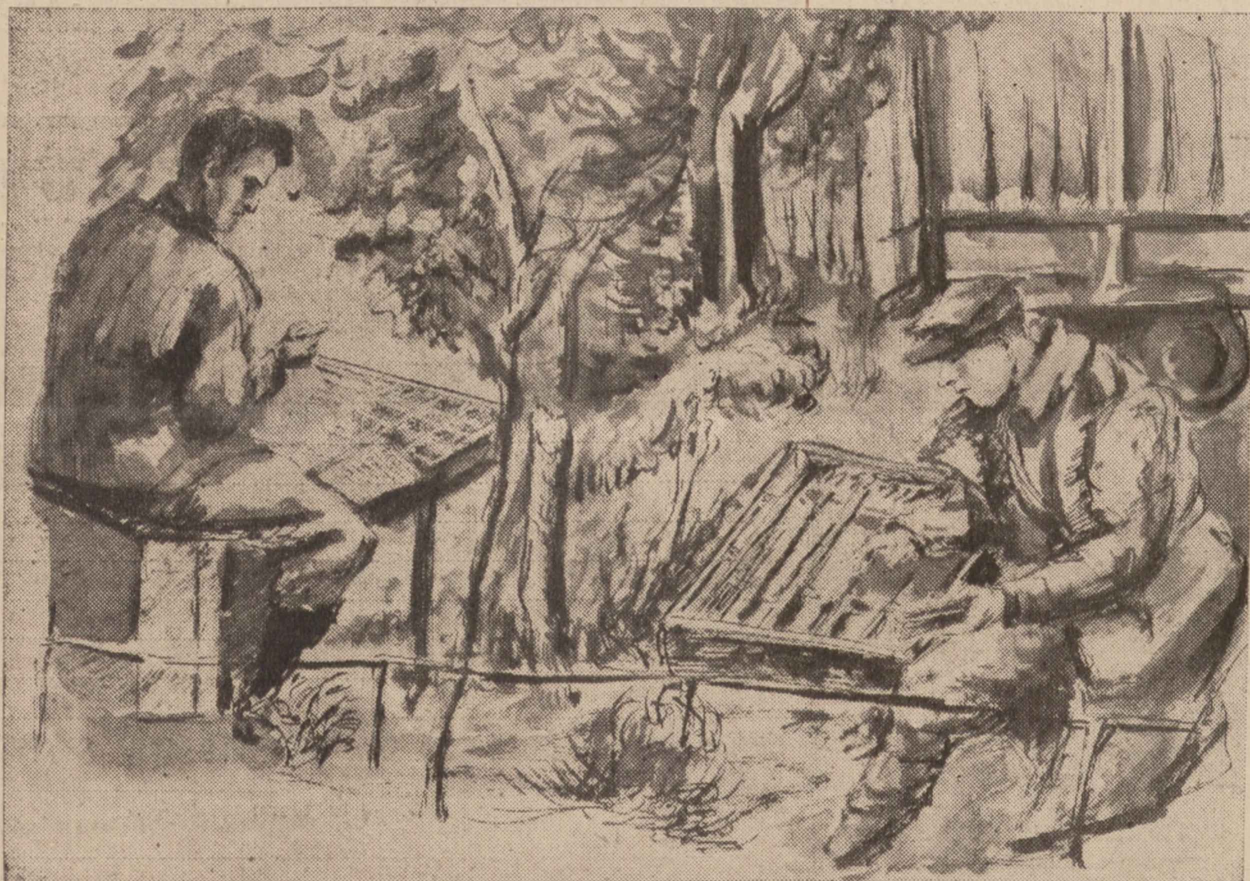
Ci, którzy dotarli na miejsce, stali się igraszką w rękach przekupnych kwatermistrzów, do których miały tylko dostęp „panie z towarzystwa" lub ci, którzy mieli czym zapłacić. Dokumenty na wyjazd wydawane przez sztab armii, a przeznaczone dla rodzin żołnierzy, sprzedawano na czarnym rynku. Ludzie zrezygnowani, złamani na duchu poczynali na nowo się urządzać. Społeczeństwo radzieckie, niezwykle zresztą zdyscyplinowane, zaczęło się odnosić z nieufnością do Polaków. Polacy czuli pustkę i osamotnienie. Powstanie I Dywizji, jej bitwa pod Lenino stała się dla Polaków w ZSRR odrodzeniem moralnym. Było to dla nich zbawieniem, które zrodziło wiarę w swe siły i nadzieję na przyszłość.

*

Bitwa pod Lenino weszła do naszej historii jako jeden z elementów genezy nowej Polski. Czyn kościuszkowski — to chwała naszego oręża pomnożona przez mądrość polityczną. Dlatego wśród innych pięknych czynów polskich żołnierzy w tej wojnie, bitwa pod Lenino zajmuje miejsce naczelne.

Kościuszkowcy dobrze zasłużyli się Polsce i zasługują na wieczną pamięć całego narodu.

Jan Skulski



Drukarnia polowa I Dyonu

Lucjan Szenwald

BALLADA O PIERWSZYM BATALIONIE

Dolina i mrok między nami i nimi,
Wstające we mgle linie wzgórzy.
Zwęglonej gorzelni kościotrup olbrzymi,
Jak szkielet okrętu po burzy.
I milczą transzeje i czasem z oddali,
Jak duch koczująca armata wypali.

Na wzgórzu są Niemcy! Na pewno w tej chwili
Przez szkła wymacują noc mglawą.
A może chorągwie zwinąwszy stchórzyli,
Przed tą, co poprzedza nas, sławą?
Wybadać co kryją tumanne rozstaje?
I pierwszy batalion z okopów powstaje.

To byli ci sami, co żaru odpryski
Na dłoń brali w hutach Uralu,
A czoła opalił im wiatr syberyjski,
A piersi zgorzały od żalu.
Ich ręce, spękane od prac, nie zawiodły,
Ich kark dźwigał cedry śnieżyste i jodły.

I żeby choć głos przed atakiem drgnął komuś!
Wytknąwszy broń idą piechurzy
Własnymi ciałami wykazać znikomość
Tej ciszy, co przyszła po burzy.
Już niebo za nimi zaczyna różowieć,
I echo ich krokom podaje odpowiedź...

Przed nimi wyżyna — wtem ogniem w trzy warstwy
Bluznęły wyloty strzelnicze,
Szarpnęły skłębienia wybuchów i trzasły
Przez mózg cekaemy jak bicze,
I dym tyralierę ze wszystkich stron obwiał,
Nitkami krwi szyły ten dym igły ognia.

I wszystko minęło, i cisza aż dziwi...
Chlupocze Miereja po bagnie.
Śpią martwi. W okopy wcisnęli się żywi
I bagnet prześwieca przez bagnet.
Tam w kul świegotaniu wypływa nad choral,
Jak gdyby w jaskółkach, twarz księdza-majora.

Wstał dzień, aby ciała poległych pohańbić,
Lecz spoza nas zerwał się podmuch,
Gruchnęło pięć setek moździerzy i haubic,
I dzień skołowaciał i ogłuchł.
A grają armaty, a dudnią, a walą...
I znowu podnosi się pierwszy batalion!

Wstał major Lachowicz o krok przed szeregiem,
Pistolet mu w ręku zabłysnął.
„Na szturm, bracia! Stąd kilometrów o siedem
Jest dom, który był mi kołyską.
Tam żona, tam synek w ramionach jej płacze...
I was czeka dom, o żołnierze-tułacze!".

I powiódł ich po przez transzeje niemieckie,
Płomiennym przewodził im ciałem
I wiódł ich na druty, na gniazda strzeleckie,
Na twierdzę, na śmierć! Ja myślałem,
Że serce wybuchło mu, pełne Ojczyzną,
A to w piersi granat się gorzki rozbryznął.

Żołnierskie podniosły go ręce niechybne,
Natarcie się dwoi i troi.
Na wzgórzu melduje od ran blady Huebner:
„Zdobyliśmy wieś... brak naboi..."
Paziński trafiony w śmiertelnej krwi pada,
Poległych już liczyć przestała gromada...

Generał pozornie spokojny, lecz łowi,
Bez tchu każdy trzask w telefonie.
„Odwody na odsiecz pierwszemu pułkowi!
Pchnąć czołgi do walki". — I słonie
Pancerne wyłażą z krętego parowu
I pierwszy batalion podnosi się znowu.

I kruszy, i łamie, i depcze, i wali,
Dopada, szturmuje i bierze!
W Trigubowej pod jabłoniami zostali
Ostatni zabici żołnierze.
Zostali ochraniać tu strzechy i progi —
Metr tej, co do kraju prowadzi nas, drogi.

NOWE KSIĄŻKI

Marika Stiernstedt — Zamach w Paryżu. Powieść ta, wydana po raz pierwszy w Szwecji w 1943 roku, zdobyła wielki sukces i została przerobiona na film i sztukę dramatyczną. Przekład E. Gałuszkowej - Sicińskiej str. 269. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

François Mauriac — Ciało i krew. Powieść. Nowa książka autora tylu znanych nam sprzed wojny powieści: „Kłębowisko żmij", „Rodzina Fontenac", „Czarne Anioły" itd. zajmuje wybitne miejsce w jego dotychczasowej twórczości. Dzieje młodego kleryka, Klaudiusza, walczącego ze swoją miłością do May i przyjaźń jego z jej bratem, Edwardem — to główny wątek powieści, w której toczy się bezwzględna walka grzechu i zła z cnotą i dobrem. Przekład Heleny Hellerówny str. 135. Wydawnictwo „Awir" — Katowice 1947.

Richard Schweizer — Ostatnia szansa. Popularny pisarz szwajcarski i scenarzysta filmowy — zdobył tą książką wielki sukces, nie tylko w ojczyźnie, ale i poza jej granicami. Film pod tym samym tytułem, osnuty na tle tej książki, obiegł prawie cały świat. A książka jest o wiele bogatsza od filmu, bo istotną jej wartością jest bogactwo wewnętrznego życia bohaterów, głębia ich przeżyć i dramat psychologiczny, którego aparat filmowy nigdy nie jest w stanie pokazać tak, jak to potrafi pióro w ręku prawdziwego pisarza. Przekład E. Gałuszkowej - Sicińskiej str. 132. Wydawnictwo „Awir" — Katowice 1947.

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo - Wydawniczego wyszło z druku szereg podręczników z dziedziny motoryzacji, które stanowią poważny dorobek w dziedzinie powiększania się naszej literatury fachowej z zakresu motoryzacji, które stanowią poważny dorobek w dziedzinie powiększania się naszej literatury fachowej z zakresu motoryzacji, ponadto zaś dzięki doskonałej formie i pełnemu wykładowi materiału przyczynić się mogą do lepszego wyszkolenia nowych kadr i podniesienia kwalifikacji kierowców i mechaników

T. Clar — Silniki pojazdów mechaniczny. Wydanie II 386 str. i 256 rysunków.

Płk. dypl. K. Surdykowski, pułk. art. O. Enoch, ppłk. inż. Cz. Wojtowicz — Podręcznik kierowcy pojazdów mechanicznych. Wydanie II str. 340, 432 rysunki

Witold Rychter — Zasady obsługi nowoczesnych samochodów. Str. 181, 35 rysunków.

Instrukcja dla kierowcy samochodu „Dodge". Model WC—51 i WC—52, ¾ t. 97 stron, 43 rysunki

Instrukcja dla Kierowcy samochodu „Studebaker" 69 stron, 14 rysunków

Instrukcja dla kierowcy samochodu „Willys" 51 stron, 18 rysunków.

* * *

Jan Koprowski — Do mojego syna. Wydawnictwo „Sztuka" 1947. Str. 32.

Jan Koprowski — Gospoda pod „Polską Lipą". Satyry i fraszki. Str. 32. Wydanie II Westfalia 1946.

Jan Koprowski — Elegia sierpniowa. Str. 42. Tomik odznaczony III nagrodą na Konkursie Literackim Związków Zawodowych w Warszawie w marcu 1947. Wydawnictwo Romana Ziewicza Hamburg 1947.

Jan Koprowski — Poezje dla Ciebie. Str. 26. Wydanie II. Bad Hamburg 1946.

Dr Th. H. Van de Velde — Małżeństwo doskonałe. Przekład dr Zygmunta Jelińskiego. Str. 345 z 8-miu wielobarwnymi tablicami. „Od chorego dualizmu Van de Velde prowadzi do zdrowego monizmu i naturalizmu, nauczając ludzi jak mają się kochać, aby miłości starczyło nie na jeden miesiąc miodowy, ale na parę sest miodowych co raz piękniejszych miesięcy". Książka ta starannie wydana przez Wydawnictwo J. Przeworskiego winna być przeczytana przez każde małżeństwo, które chce być szczęśliwe.

Undset Sygryda — Krystyna córka Lawransa. Wznowienie słynnej, historycznej powieści, której treść rozgrywa się w XIV wieku. Autorka jej jest laureatką nagrody Nobla. Przekład Wandy Kragen. Okładkę projektował St. Bernaciński. Str. 316. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r.

Król Jan Aleksander — Drogowskazy na manowcach kultury ludowej. Str. 282. Państwowy Instytut Wydawniczy 1947 r.

Dobraczyński Jan — Straszny Dom. Tom zawiera trzy opowiadania z okresu okupacji i powstania: Stasiek. Straszny Dom. Miłosierdzie. Autor niezwykle barwnie, ale realistycznie opisuje nędzę i przeżycia ludzi podczas okupacji hitlerowskiej. Książka ta stanowi cenną pozycję w powojennej literaturze polskiej. Wydawnictwo Zdzisława Gustowskiego. Poznań 1947 r.

Agatha Christie — Noc w Bibliotece. Powieść sensacyjna, jedna z najlepszych w twórczości popularnej już dziś w świecie autorki. Jest to książka ciekawa, na wysokim poziomie literackim, dająca równocześnie czytelnikowi sposobność zabawienia się w detektywa i snucia domysłów. Przekład E. Gałuszkowej - Sicińskiej. Str. 196. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

PREMIE KSIĄŻKOWE

Administracja „Tygodnia" przeznacza wartościowe nagrody książkowe dla tych czytelników, którzy zjednają nowych pięciu prenumeratorów opłacających kwartalną prenumeratę .W tym celu należy wypełnić załączony kupon i przesłać do Admin. „Tygodnia", ul. Szpitalna 3 m. 8.

Proszę wysyłać „Tydzień" do następujących osób:

1 ....

2 ....

3 ....

4 ....

5 ....

Należność za prenumeratę kwartalną „Tygodnia" wpłacono na konto

P. K. O. Warszawa, I-4766, dnia ....

Premię książkową proszę przesłać pod adresem:

TYDZIEŃ WIĘŹNIA POLITYCZNEGO



Poczty sztandarowe i członkowie Związku Więźniów Politycznych złożyli hold poległym na gruzach „Pawiaka" zapoczątkowując „Tydzień Więźnia Politycznego w Warszawie.

Film TYGODNIA

ZAGRANICZNI GOŚCIE W STOLICY



Ministrowie odbudowy brytyjski — Silkin i polski — Kaczorowski pracują przy wykopie przedłużenia ul. Marszałkowskiej przez getto.

V-PREMIER CZESKI W WARSZAWIE



Z pobytu v-premiera C.S.R. Fiellngera w Warszawie. V-premier Fierlinger w rozmowie z Prezydentem R. P. w Belwederze.

W ŁAZIENKACH



Łazienki są zawsze wdzięcznym tematem dla malarzy i studentów Akademii Sztuk Pięknych, wykorzystujących ostatnie ciepłe dnie.

Prezydenci stolic zaprzyjaźnionych państw podczas swej wizyty zwiedzili elektrownię warszawską.

PRZY ODBUDOWIE



Siostry Urszulanki remontują same swój dom przy ul. ks. Siemca w Warszawie. Na zdjęciu siostra Jacka wciąga kubełki z zaprawą.

MOTOR NA USŁUGACH CZŁOWIEKA



Fot. Film Polski

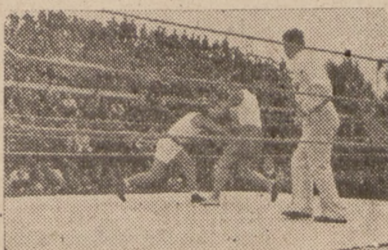
Zgarniacze, zastępujące w pracy 600 ludzi, usypują dziennie 2500 m³ ziemi, przy budowie nowych wałów koło Kazunia na terenach nawiedzanych powodzią.

ŚWIĘTO MILICJI OBYWATELSKIEJ

Zatopek, mistrz Europy, długodystansowiec Czechosłowacji startował w niedzielę na zawodach Milicji Ob. w Warszawie na stadionie W.P. osiągając czas 2 min. i 4 sek. na dystansie 5 km.

•

W ramach święta odbyło się spotkanie bokserskie między Milicją Obywatelską a Policją Czeską — zwycięża Milicja 10:4.





Fot. Film Polski

Lew Tołstoj *Tłum. Grzegorz Timofiejew*

PO BALU

OPOWIEŚĆ Z CZASÓW CARATU

— Mówicie, że człowiek jako taki nie może wiedzieć, co jest dobre, a co złe, że wszystko zależy od środowiska, w którym tkwi i nieraz ginie. Sądzę, że wszystko zależy od przypadku. Opowiem wam, co mi się przytrafiło...

Tymi słowami rozpoczął szanowany ogólnie Jan Wasiljewicz, kiedy ukończyliśmy rozmowę o tym, że najpierw muszą się zmienić warunki życia, ażeby jednostka mogła udoskonalić się pod względem etycznym. Wprawdzie nikt nie utrzymywał, że człowiek nie może wiedzieć, co jest dobre, a co złe. Ale Jan Wasiljewicz miał zwyczaj odpowiadania na własne myśli, które powstawały w związku z prowadzoną rozmową i opowiadania z tego powodu jakichś zdarzeń ze swego życia. Częstokroć zapominał zupełnie, po co zabrał głos — zapominał, gdyż wdawał się w opowieści, opowiadał zaś umiejętnie.

Tak też uczynił teraz.

— Opowiem o sobie. Moje życie przybrało ten, a nie inny charakter wcale nie z racji warunków środowiska, w którym tkwiłem, lecz zgoła z innej przyczyny.

— Z jakiej? — zapytaliśmy.

— To długa historia. Ażebyście mogli zrozumieć, musiałbym wiele opowiedzieć.

— Więc niech pan mówi.

Jan Wasiljewicz zamyślił się i pokiwał głową:

— Tak — rozpoczął — zmiana w moim życiu dokonała się w ciągu jednej nocy albo raczej poranka.

— Ale cóż to było?

— Było to, że zakochałem się bardzo mocno. W życiu kochałem się wiele razy, ale to była moja największa miłość. Dzisiaj to przebrzmiałe dzieje — ona ma już zamężne córki. To była B..., tak Basia B... — Jan Wasiljewicz powiedział nazwisko — ta kobieta była ładna, mając nawet pięćdziesiąt lat, ale w młodości, gdy miała 18 lat, była zachwycająca: wysoka, wysmukła, zgrabna i majestatyczna — właśnie — majestatyczna. Chodziła zawsze wyprostowana, odrzuciwszy nieco w tył głowę, a to nadawało jej jakiś królewski wygląd, od którego wiał by może chłód, gdyby nie łagodny, zawsze wesoły uśmiech, piękne, błyszczące oczy i wdzięk całej postaci.

— To ci dopiero maluje!

— Gdybym nie wiem jak malował, nie wypowiem całego piękna tej kobiety. To, o czym będę opowiadał, działo się w 40-tych latach. Byłem studentem w jakimś mieście na prowincji. Nie wiem, czy to źle, czy też dobrze, ale wtedy nie tworzyliśmy żadnych kółek, tylko przepędzaliśmy życie jak najweselej i beztrosko. Byłem wesołym, dziarskim młodzieńcem, nadto bogatym. Miałem dobrego konia, jeździłem z paniami na spacery, sankami też, bawiłem się w gronie kolegów, ale największą moją rozkoszą były wieczory i bale. Tańczyłem dość dobrze, a byłem wcale niebrzydki.

— No, nie ma co udawać skromnego — przerwała jedna z obecnych. — Znamy pana z portretu, był pan piękny.

— Jak piękny, to piękny — ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że wtedy, kiedy się tak gwałtownie kochałem, byłem na balu u marszałka szlachty gubernialnej, dobrodusznego staruszka, niezwykle bogatego i gościnnego. On oraz jego żona — tak samo dobroduszna kobieta — podejmowali gości. Bal był wspaniały. Piękna sala, galerie, orkiestra, obficie zaopatrzony bufet i morze szampana. Chociaż lubiłem szampana, nie piłem, gdyż byłem pijany miłością. Za to tańczyłem, póki się trzymałem na nogach — walce, polki, oczywiście w miarę możności z Basią. Moja ukochana była w białej, przepasanej różową szarfą sukience, w białych rękawiczkach, odsłaniających nieco chude łokcie i w białych atłasowych pantofelkach. Gdy tańczono mazura, odbił mi Basię wstrętny inżynier Anisimow — nie przebaczyłem mu tego po dziś dzień — zaprosił ją, gdy tylko weszła na salę. Ja byłem u fryzjera, potem kupowałem nowe rękawiczki, więc spóźniłem się. A zatem mazura tańczyłem z pewną młodą Niemką, w której się niegdyś trochę podkochiwałem. Ale boję się, że byłem niezbyt uprzejmy dla mej damy — nie rozmawiałem z nią wcale, spoglądając tylko na wysoką, białą postać Basi i na jej twarz różową, rozpromienioną, o miłych, łagodnych oczach. Nie tylko ja jeden patrzyłem na nią — wszyscy goście spoglądali na Basię. Podziwiały ją nawet kobiety. Trzeba było podziwiać. Mazura tańczyłem z inną damą, ale w rzeczywistości tańczyłem tylko z Basią. Basia, nie detonując się, kierowała się przez całą salę do mnie, ja zaś podbiegałem ku niej, nie czekając nawet na zaproszenie. Basia uśmiechała się i dziękowała mi, że jestem tak domyślny. Gdy zbliżał się do niej i musiała tańczyć z innym kawalerem, wzruszała chudymi ramionami na znak ubolewania i, podając rękę komuś innemu, uśmiechała się do mnie pocieszająco.



Basia z przyspieszonym oddechem wołała „encore", więc tańczyłem jeszcze

Gdy w mazurze wykonywaliśmy pas walca, tańczyłem z nią długo; Basia z przyśpieszonym oddechem wołała „encore", więc tańczyłem jeszcze i jeszcze, nie czując zgoła samego siebie.

— Jakto nie czuł pan samego siebie? Chyba pan i ją czuł, skoro obejmował ją w tańcu — wtrącił ktoś ze słuchaczów.

Jan Wasiljew zarumienił się nagle i zawołał prawie gniewnie:

— Tak, taka jesteś, dzisiejsza młodzieży! Wy nic, oprócz ciała, nie widzicie. Za moich czasów było inaczej. Im więcej byłem zakochany, tym bardziej wydawała mi się Basia bezcielesną istotą. Wy widzicie nogi, łydki i jeszcze coś; rozbieracie kobiety, które kochacie. Dla mnie, jak mawiał Alfons Karr — był to doskonały pisarz — przedmiot mojej miłości okrywały szaty z brązu. Nie rozbieraliśmy kobiet, lecz usiłowaliśmy okryć ich nagość, jak dobry syn Noego. Zresztą, nie zrozumiecie tego.

— Nie słuchacie nawet. Co dalej? — rzucił ktoś ze słuchających.

— Więc tańczyłem najwięcej z nią. I nie zauważyłem nawet, jak przeszedł czas. Orkiestra — jak to bywa przy końcu zabawy — grała rozpaczliwie wciąż to samo, ojcowie wstali od kart, lokaje zaczęli snuć się po salach, szykując kolację. Była trzecia godzina. Należało wykorzystać ostatnie chwile. Więc wziąłem Basię i po raz chyba setny zatańczyłem z nią mazura.

— Więc po kolacji taniec z panią należy do mnie — rzekłem do Basi, dziękując za mazura.

— Oczywiście, o ile nie zabiorą mnie do domu — odpowiedziała z uśmiechem.

— Nie dam pani.

— Więc niech pan da przynajmniej mój wachlarz.

— Żal mi go oddawać — rzekłem do niej, oddając biały, tani wachlarz.

— W takim razie ma pan, ażeby nie było panu żal — rzekła.

I uszczknęła z wachlarza maleńkie piórko. Tylko spojrzeniem potrafiłem wyrazić cały mój zachwyt i wdzięczność. Byłem też nie tylko wesół i zadowolony — byłem szczęśliwy, dobry, byłem jakiś inny, pozaziemski, pozbawiony wszelkiego zła, zdolny tylko do dobra. Schowałem piórko i stałem przy Basi, nie mając sił, aby odejść.

— Niech pan patrzy, tatusia zapraszają do tańca — powiedziała do mnie, wskazując wysoką, zgrabną postać swego ojca—pułkownika, który stał we drzwiach, otoczony paniami.

— Basiu, proszę do nas — rozległ się głos gospodyni.

Basia skierowała się ku drzwiom, szedłem za nią.

— Niechże pani namówi ojca, aby zatańczył raz z panią. Proszę pana — zwróciła się gospodyni do pułkownika.

Ojciec Basi był to piękny, zgrabny, wysoki starzec. Twarz miał rumianą, wąsatą à la Nicolas I, otoczoną bakami i uśmiechniętą tak samo radośnie, jak twarz córki. Ułożony był pięknie: szeroka, skromnie ozdobiona orderami pierś, mocne bary i długie, zgrabne nogi. Typ starego oficera z czasów Mikołaja.

Gdy podeszliśmy, pułkownik wymawiał się, tłumaczył, że zapomniał tańczyć. Ale widać było, że zgodzi się. Z uśmiechem odpiął swoją szpadę, oddał ją jakiemuś uprzejmemu młodzieńcowi i wkładał rękawiczki zamszowe.

— Musi być według form — rzekł z uśmiechem, wziął córkę za rękę i stanął do tańca, czekając na odpowiednią chwilę.

Mazur zagrzmiał. Pułkownik wysunął jedną nogę, wysunął drugą i oto wysoka, pełna postać to ciszej, to głośniej popłynęła przez salę. Zgrabna Basia tańczyła obok, robiąc to większe, to mniejsze kroki. Cała sala śledziła każde poruszenie tej pary. Ja zaś patrzyłem na tańczących z dziwnym wzruszeniem i zachwytem. Zwłaszcza rozczuliłem się, gdy patrzyłem na nogi pułkownika. Miał na nogach wprawdzie dobre, skórkowe buty, ale niemodne, stare — z tępymi szpicami i bez obcasów, widać było, że buty robił wojskowy szewc. Rozczuliłem się. Myślałem:

— Chcąc, aby córce było jak najlepiej, nie kupując modnych butów, tylko nosi stare. Można było zauważyć, że pułkownik kiedyś tańczył świetnie, teraz zaś był nieco ociężały i nie miał młodzieńczych nóg, ażeby tak zgrabnie jak dawniej wykonywać różne pas. Ale mimo to dość zgrabnie zrobił dwa koła. Wszyscy zaczęli klaskać, kiedy przykląkł, a Basia, uśmiechając się i poprawiając suknię, tańczyła naokoło. Później pułkownik z pewnym wysiłkiem podniósł się, pieszczotliwie i z wdziękiem ujął córkę za głowę i pocałowawszy ją w czoło, przyprowadził ją do mnie, sądząc, że z nią tańczę. Powiedziałem, że nie jestem jej kawalerem.

— No, wszystko jedno. Niech pan teraz zatańczy z Basią — powiedział z uprzejmym uśmiechem, biorąc podaną mu szpadę.

Bywa, że szampan, trysnąwszy kilku kroplami, wylewa się całą strugą: miłość Basi dała upust temu kochaniu, które miałem w sercu. Cały świat ogarniałem wtedy swą miłością. Kochałem i gospodynię balu, i jej męża, i wszystkich gości, i lokajów, nawet Anisimowa, który dąsał się na mnie. Ojca zaś Basi, uśmiechniętego tak samo łagodnie, otaczałem jakimś rzewnym zachwytem.

Mazur skończył się, gospodarze zaprosili wszystkich do stołu. Pułkownik B. podziękował, mówiąc, że nazajutrz musi wcześnie wstać, i pożegnał obecnych. Zląkłem się, że zabierze córkę, lecz Basia została z matką.

Po kolacji znów tańczyłem z nią. I jakkolwiek zdawało się, że już przedtym byłem nieskończenie szczęśliwy, uczucie moje wciąż potężniało. Nie mówiliśmy nic o miłości, ani jej, ani nawet samego siebie nie pytałem, czy mnie kocha. Bałem się tylko tego, aby coś nie zakłóciło mi szczęścia.

Wróciwszy do domu, rozebrałem się i chciałem położyć się na spoczynek, ale zrozumiałem, że nie potrafię zasnąć. W ręku miałem piórko z jej wachlarza i jej rękawiczkę, którą dała mi, gdy żegnała się ze mną, odjeżdżając karetą. Patrzyłem na te rzeczy i jakkolwiek miałem otwarte oczy, widziałem ją znowu przed sobą. Widziałem ją, gdy wybierała mnie do mazura, podając z radością rękę. Albo gdy siedziała przy kolacji, nachylała do ust kielich szampana i spoglądała na mnie pieszczotliwymi oczami. Ale najbardziej pamiętna była dla mnie chwila, kiedy Basia tańczyła ze swoim ojcem, kiedy płynęła dokoła męskiej postaci i radośnie a dumnie spoglądała na zachwyconych widzów. Patrzę na tę parę i mimo woli ogarniam ją rzewnym uczuciem roztkliwienia.

Wtedy mieszkałem z nieboszczykiem bratem. Brat w ogóle nie lubił życia towarzyskiego, nie chodził na bale; teraz zaś miał egzamin, więc prowadził jak najbardziej spokojne życie. Spał. Spojrzałem na jego głowę, przytuloną do poduszki i okrytą do połowy kołdrą i litowałem się nad nim, że nie zna szczęścia, które czułem. Lokaj Piotruś, trzymając świecę w ręku, otworzył mi drzwi; chciał zdjąć ze mnie ubranie, ale puściłem go. Na widok jego zaspanej twarzy poczułem wzruszające rozczulenie. Stąpając jak najciszej, aby nie robić hałasu, poszedłem do swego pokoju i siadłem na łóżku. Nie, byłem nazbyt szczęśliwy, nie mogłem spać. Zresztą było mi gorąco w napalonym pokoju. Toteż wyszedłem pocichutku do korytarza, włożyłem płaszcz, otworzyłem drzwi wejściowe i wyszedłem na ulicę.

Z balu wróciłem o piątej; w pokoju siedziałem ze dwie godziny. Więc kiedy wyszedłem — zrobiło się widno. Była prawdziwie karnawałowa pogoda: mgła, topniejący śnieg na drodze i odwilż na dachach. Rodzina B. mieszkała wtedy na przedmieściu; — było tu wielkie pole, z jednej strony wznosił się gmach instytutu dla panien szlacheckich, z drugiej zielenił się ogród spacerowy. Przeszedłem nasz zaułek i wyszedłem na główną ulicę, gdzie spotykałem przechodniów i chłopów, wiozących wielkie sanie, pełne drzewa. I konie, które jednostajnie kiwały głową i chłopi, którzy, człapiąc, kroczyli w wielkich butach obok sań, i domy przy ulicy, które we mgle wznosiły się wyżej, niż zazwyczaj — wszystko to miało w moich oczach szczególnie miły wygląd.

Gdy wyszedłem na pole, przy którym stał dom państwa B., ujrzałem gdzieś w końcu, w kierunku alei spacerowych, czerniejący tłum. Stamtąd też dochodził mnie głos fletów i warkot bębna. W sercu moim rozlegała się inna muzyka — chwilami rozbrzmiewał w nim mazur. Ale to, co usłyszałem, było inne, okrutne i złe. „Co to takiego?" — myślałem. Skierowałem się tam środkiem pola, wyjeżdżoną, oślizgłą drogą. Gdy zrobiłem sto kroków, z tumanu wyłoniły się ciemne sylwetki ludzi. Widocznie żołnierze. „Chyba ćwiczenia" — pomyślałem.

Wraz z jakimś kowalem w zatłuszczonym kożuchu podszedłem bliżej. Czarni żołnierze z karabinami stali na baczność, ustawieni w szpaler. W tyle warczał bęben i rozbrzmiewał flet — rozlegała się przykra, jednostajna nuta.

— Co to jest? — zapytałem kowala, który stał obok mnie.



— Ja ci dam bić słabo — rozległ się gniewny głos pułkownika.

— Karze się Tatara za dezercję — odpowiedział gniewnie kowal, spoglądając na przeciwległy koniec szpaleru.

Spojrzałem także w tym kierunku i ujrzałem coś przeraźliwego, co zbliżało się ku mnie. Był to człowiek obnażony, przywiązany do karabinów dwu prowadzących go żołnierzy. Obok szedł oficer w płaszczu. Ta postać wydała mi się znana. Drgając całym ciałem, człapiąc po topniejącym śniegu, skazaniec szedł pod razami kijów, które spadały z dwu stron, szedł ku mnie, to pochylając się gwałtownie w tył — wtedy prowadzący żołnierze pchali go naprzód, to padając przed siebie — wtedy prowadzący żołnierze cofali go, ciągnąc w tył karabiny. Obok ,równym krokiem szedł wysoki oficer. To był jej ojciec o rumianej twarzy, białych wąsach i bakach.

Po każdym uderzeniu skazany zwracał do żołnierza, który go uderzył, zdziwioną jak gdyby, pomarszczoną z bólu twarz i, szczerząc zęby białe, mówił jakieś słowa, zawsze te same. Dopiero, gdy zbliżył się do mnie, usłyszałem, co mówił. Nie mówił, ale płakał, szepcząc: „Bracia, miejcie litość. Bracia, miejcie litość". Ale bracia nie litowali się. Gdy skazany przechodził obok mnie, jakiś żołnierz stanowczym krokiem wystąpił naprzód i zamierzył się kijem. Przecinając ze świstem powietrze, kij spadł na plecy Tatara. Skazany rzucił się naprzód, ale prowadzący żołnierze podtrzymywali go. I znowu taki sam cios spadł na Tatara z tamtej strony, później z tej, i znowu z tamtej, i znowu z tej. Pułkownik, spoglądając na skazanego, to na swoje nogi, szedł obok, wciągał w płuca powietrze, wydymał policzki i oddychał powoli. Gdy skazany przechodził obok mnie, ujrzałem przelotnie okładane plecy. Było to pstre, mokre, czerwone mięso; było to coś tak nienaturalnego, że nie chciałem wierzyć, aby to miało być ciało ludzkie.

— O, Boże — zawołał stojący obok mnie kowal.

Skazany szedł wciąż dalej. Wciąż tak samo padały z obu stron razy, wciąż tak samo potykał się, drgał boleśnie człowiek, wciąż tak samo grzmiał bęben i grał flet i wciąż tak samo pewnym, zdecydowanym krokiem posuwała się obok wysoka, zgrabna postać pułkownika. Nagle pułkownik stanął i zbliżył się prędko do jakiegoś żołnierza.

— Ja ci dam bić słabo — rozległ się gniewny głos pułkownika. — Będziesz bił słabo? Będziesz?

Widziałem, jak ręką w rękawiczce zamszowej bił po twarzy niskiego, niedołężnego i przestraszonego żołnierza, który słabo uderzył Tatara.

— Dać tu nowe kije! — zawołał pułkownik. Obejrzał się i zobaczył mnie. Udając, że mnie nie poznał, odwrócił się pośpiesznie, pochmurny, groźny i zły. Mnie zaś ogarnął taki wstyd, że nie wiedziałem, co robić z oczami. Jak gdyby mnie złapano na jakimś niecnym uczynku, spuściłem oczy i pośpiesznie wróciłem do domu. Przez całą drogę miałem w uszach warkot bębna, głos fletów i te słowa: „Bracia, miejcie litość". To znów słyszałem gniewny okrzyk pułkownika: „Będziesz bił słabo? Będziesz" — Serce zaś tak mi się wyrywało z piersi, że miałem wprost fizyczne mdłości. Kilka razy zatrzymywałem się; zdawało mi się, że zaraz zwymiotuję to przerażenie, którym się syciłem, patrząc na egzekucję. Nie pamiętam, kiedy wróciłem do domu i położyłem się do łóżka. Ale zaledwie zacząłem zasypiać, usłyszałem znowu to wszystko. Zobaczyłem ponownie egzekucję i zerwałem się przerażony.

— Widać pułkownik wie coś, o czym ja nie wiem — myślałem później. „Gdybym wiedział to samo, rozumiałbym to, co było, i nie czułbym męki". Ale jakkolwiek wiele myślałem, nie mogłem odkryć, co właściwie wie pułkownik. Zasnąłem dopiero pod wieczór, zresztą musiałem się wpierw upić u przyjaciela. Cóż państwo sądzicie, że to, co widziałem, uznałem za rzecz złą? Bynajmniej. „Jeżeli to uważa się za rzecz niezbędną i czyni się z taką pewnością, więc chyba ludzie czyniący takie rzeczy, wiedzą coś, czego nie znam" — myślałem, i usiłowałem poznać tę niewidoczną dla mnie mądrość. Ale pomimo wysiłków nie mogłem zrozumieć. I dlatego nie poszedłem do wojska, chociaż pragnąłem tego dawniej, i w ogóle nie poszedłem nigdzie. Nie służyłem nigdzie i nie nadawałem się do niczego.

— To my wiemy, czy pan nadawał się do czegoś, czy nie — zauważył któryś ze słuchaczów. — Niech no pan powie: ilu mielibyśmy niezdolnych do niczego ludzi, gdyby nie było pana?

— E, to głupstwa — ze szczerą niechęcią odparł Jan Wasiljewicz.

— A co się stało z miłością? — zapytaliśmy.

— Z miłością? Od tego dnia miłość moja zaczęła słabnąć. Kiedy Basia, uśmiechając się lekko, pogrążała się w zadumie, natychmiast przypominałem sobie pułkownika, egzekucję na placu i czułem jakiś niesmak. I widywałem Basię coraz rzadziej, a miłość moja zmniejszała się powoli, aż zniknęła. — Tak to bywa na świecie. Dlatego też zmienia swój kierunek życie ludzkie. A państwo mówicie, że... — zakończył Jan Wasiljewicz.

N. Rylenkow

DOPÓKI...

Dopóki ciągną ciebie drogi,
gdzie każdy ci przechodzień brat,
i nie ociągasz się na progu,
gdy z wschodem słońca ruszasz w świat;

dopóki mocniej spiąwszy rzemień
worka na plecach, możesz znów
jak będąc dzieckiem pić z strumienia,
na mchu pod głową szukać snu;

póki na każdym koczowisku
bratasz się z wiatrem w nocny czas,
by słuchać trzasku drew z ogniska
i o czym milcząc mówi głaz;

póki za wszystkie ziemi wdzięki,
za każdy twój o szczęściu sen
nie starczy tobie gołąb w ręku,
lecz szukasz czajki w niebie hen;

pókiś iść gotów od popielisk,
w które się wczoraj stliły drwa, —
niech ci na skroniach włos się bieli —
nie wierz, że przeszła młodość twa!

przełożył **Kazimierz Andrzej Jaworski**

Iwan Baukow

NA OBCZYŹNIE

Ni to deszcz, ni dymu pościg
las wiosenny w krąg owinął.
Nie ma szczęścia, ni radości
na obczyźnie bez mej miłej.

Kwiat ni trawka tu nie umie
rozwiać z serca mi tęsknoty
i nie tak dąbrowa szumi
i chmiel wije się nad płotem.

Czeremchowy krzak ocienia
niespokojnie mur z betonu,
to nie domy w krąg — więzienia,
które płoszą ptasie tony.

I gdziekolwiek zwrócić oczy,
każdy kamień w karbach stoi.
Ja przywykłem do roztoczy,
gdzie nas nic nie niepokoi.

Ja przywykłem do roztoczy,
gdzie dążeniom nie ma granic.
Oto czemu czarną nocą
dom rodzinny w snach mnie mami.

Śni się sad, gdzieś ty mi z wiarą
szczęsnych dni śpiewała pieśni,
gdzie ni myślom, ni zamiarom
dla człowieka nie ma cieśni.

Przełożył **K. A. Jaworski**

CZY POLSKA JEST OJCZYZNĄ REBUSA?

CO O TYM MÓWIĄ STARE KSIĘGI

Liczne czasopisma poświęcają wiele miejsca działowi rozrywek umysłowych — w szczególności rebusów. Nie jest to jednak wynalazek obecnego wieku. Rebusy znane były dość dawno. Encyklopedie różnych państw podają zgodnie, że najdawniejsze rebusy, układane były w języku łacińskim, co zresztą potwierdza sama nazwa i że kolebką ich miały być Włochy w XVII wieku. Stąd przeszedł ten typ rozrywki umysłowej do Francji, Niemiec i Polski.

Nie jest to jednak ścisłe, gdyż w Polsce rebusy znane już były w w. XVI i jeżeli inne państwa nie mogą wykazać się wcześniejszymi rebusami, to w takim razie należy uznać Polskę za kolebkę rebusów w Europie. Istnieją bowiem dowody, że w Polsce istniały rebusy znacznie wcześniej, niż na Zachodzie. Pierwszym takim rebusem polskim jest znaleziony w rękopisie „Silva rerum rodziny Sasinów - Kaleczyckich". Kreślony on jest ręką Wasila Kaleczyckiego, który w zapiskach swoich mówi, że urodził się w województwie brzesko - litewskim w roku 1565, a wpisywał doń różne rzeczy przez całe panowanie króla Zygmunta III. Rebus, który znajduje się w tym rękopisie pochodzi z okresu panowania Zygmunta III

Cały rebus w księdze rodziny Kaleczyckich składał się z 12 wierszy rymowanych, z których dwa pierwsze zostały doszczętnie wygryzione (prawdopodobnie przez myszy). Autor rebusu, ażeby ułatwić jego odczytywanie, co było właściwie trudnym, przy niezgrabnych rysunkach— zamieścił u dołu objaśnienia pod tytułem: „Do czytelnika". Objaśnienie to, w którym także znajdują się miejsca zniszczone, oznaczone przez nas kropkami, brzmi następująco:

„Najdziesz tu w tym czytaniu: jelenia, dom, pana,
Oś, Kaw... sera i w......y, bo tu jest odmiana,
W ty... cieniste rózgi i taranty konic,
A po... zobaczysz chroniki zielone.
Jeśli się chcesz napić, najdziesz i szklenicę.
Głowę... i górę, także dwie piwnice,
I mniszy tu sprawują wiele czystych rzeczy,
Żeby cię nie odrzucili, miejże się na pieczy.
Jeżeli się na wojnę wybierasz, masz działo,
I rzeka jest ,przez którą przeprawiaj śmiało,
Potym wiatry nastąpią, pszczoły ule mają,
Te się rady, niepogody i wiatrów lękają.
P... soli zań będzie zapłata.
Możesz i w dzwon uderzyć i na wino pójdziesz,
Jeżeli nie zapłacisz, pewnie czyśćca dojdziesz.
Możesz w stawie ryb nałowić, tamże i kocięta,
. . . . . . się kochają dziewczęta.
. . . . to siądziesz za stołem,
. . . . choć wszystkie ogółem,
. . . . pobiorą psi zatym do kości,
. . . . ganiaj gości.
Będą śliwy na wety i gra dla zabawy,
Łysz... czy... z... frami i łyżka do strawy
. . . . mały jeżeli spać zechcesz na kocu?
. . . . a potem sen starłszy z oczu.
Możesz sobie poskoczyć we... ry wesoło
D...ą tylko rzeźko uwijaj się wkoło.
Najdziesz tu warcaby, także kostki, karty,
Jeżeli wolisz małe zwierzę, jedźże w pole z harty.
Wyr... wierszem sobie to czytasz,
.. przytym łaskaw na nie czytelnik.

Drugi staropolski rebus podajemy z pięknego starego sztychu (40 cm dług. 31 cm szer.), przedstawia on 15 wierszowy pomnik łaciński na cześć króla Zygmunta III ułożony i wydany w roku 1593 przez Jakóba Krasickiego z Siecina, słuchacza poetyki u Jezuitów w Wiedniu.

Ten sztychowany utwór został w swoim czasie, przez prof. Hieronima Łopacińskiego po łacinie odczytany i następnie przetłumaczony na język polski:

Żyj, Królu, któremu cnoty udzieliły korony,
Jeśli drogiemi kamieniami te berła... na pewno
...Rzymskiej... jak kotwica okrętu
Byłbyś, ponieważ szczęście Królów obmyśla Jezes,
Bóg Ojciec tarczę (obronę) im daje i radosne trofea,
Piramidy, wysokie obeliski kolumny (t. j. pomniki).
Królem jesteś na (ziemi?) jak między gwiazdami jasnemi
Słońce, tęcza, pioruny promieniami świat ozdoby wysoko upiększa?
O szczęśliwy, którego oręż milczący oznacza.
Gdzie oręż srogi leży i Mars otwarcie nie wywija mieczami,
(Tam) sprawiedliwość wyborna, prawda i sława święta panują
Stąd Cerera i Bachus kwitną, palmowe wieńce
Niosąc pieśni, cytaty i liry nastrajając.
Żyj więc (szczęśliwie?) i przez rajskie zamki
Idź (t. j. dosięgnij nieba), o co chór dźwięczny, o co Muza się modli.

Rebus Wasila Kaleczyckiego z r. 1565

Staropolski rebus z 1593 roku ułożony na cześć króla Zygmunta III przez Krasickiego.

Rebusy istniały w Polsce szczególnie obficie w wieku XVII. Dowodem tego jest książka z r. 1688 pt. „Królewicz indyjski w polski strój przybrany albo historia o świętym Jozafecie, Królewiczu indyjskim i o św. Barlaamie, pustelniku". Autorem, względnie tłumaczem z łacińskiego na polski jest ks. Mateusz Ign. Kuligowski.

W latach 1858—59 wychodzące w Warszawie czasopismo „Wolne Żarty" pod redakcją Bonawentury Chrzańskiego było pierwszym pismem, które publikowało stale rebusy. W kilka lat później dział rozrywek umysłowych wprowadziły: „Biesiada literacka" i „Tygodnik Ilustrowany". Szkoda, że staropolskie rebusy ginęły po domach prywatnych, gdyż moglibyśmy ich mieć niejeden tom, bądź co bądź ciekawej literatury hieroglificznej i prawować się z państwami Europy Zachodniej o ojcostwo rebusa.

M.B.

*

Obraz Stanisława Kurczyńskiego, przedstawiający w r. 1807 mieszkanie Ludwika Dmuszewskiego, literata i artysty teatru warszawskiego, gdzie raz na tydzień, zbierali się jego znajomi na „posiedzenia szaradowe". Sportretowani są: L. Osiński — profesor uniwersytetu, Kurczyński — malarz, Alojzy Żółkowski — słynny komik. Kudlicz — znakomity autor, Pękalski — tłumacz dzieł scenicznych, Dmuszewski, Banczakiewicz, Kapliński, Pisanko i Szymanowski.

Grupa STARYCH zachętowskich malarzy urządziła wystawę prac „Polskich Artystów Niezależnych".

„ZACHĘTA" do życia...



Rys. J. Żebrowski

Na rysunku „Jury". Od lewej siedzą: art. malarz Badowski, Kazimierz Lasocki, Wocjan i K. Borzym.

PATRZĄC NA MAPĘ

Nie ma chyba drugiego państwa w Europie, które by, jak Polska, w ciągu swych dziejów doświadczało ustawicznych zmian granic. Tylko jej granica południowa — na tej przestrzeni, gdzie ją zabezpiecza łańcuch gór, pozostawała niewzruszona; zachodnia, północna i wschodnia były wciąż płynne, chwiejne i niepewne. Od czasu Mieszka I, którego dziedzictwo opierało się mocno o Bug na wschodzie i Odrę na zachodzie, po r. 1795 i potem w epoce trzech zaborów, Polska zaznawała najrozmaitszych przeobrażeń geopolitycznych, a przyczyną ich było jej położenie geograficzne między zachodem a wschodem Europy oraz jej wysiłek do zapewnienia sobie granic naturalnych. Kształt, jaki otrzymała Polska w r. 1918, nie wytrzymał próby historycznej. Dziś, patrząc na mapę nowej Polski, można powiedzieć, że osiągnęła ona granice idealne, to znaczy zbliżyła się do jednej z tych możliwości geopolitycznych, do których dąży każdy państwowotwórczy naród, pragnący osiedzieć się twardo i niezawiśle a przyjaźnie wobec swych sąsiadów: zarysem swym bowiem przypomina Polska koło czyli najdoskonalszą figurę geometryczną.

Środkiem tego koła, pępkiem niejako organizmu Polski, jest Łęczyca, gród bardzo starożytny. na ziemiach prapiastowskich wyrosły, może — obok Gniezna — najstarszy w Polsce, w zaraniu dziejów naszych ośrodek osobnego plemienia Łęczyczan, w epoce dzielnicowej siedziba książąt udzielnych, którą dopiero Kazimierz Wielki połączył z Koroną i na znak połączenia świetny zamek tu wystawił. Pradawna, symboliczna Łęczyca jest jednym z wierzchołków trójkąta równoramiennego, którego dwa inne wierzchołki stanowią Warszawa i Łódź: Warszawa — duch, ożywiający organizm Polski; Łódź — jej materia. Na bokach tego trójkąta rozsiadły się niemniej symboliczne inne miasta: od Łęczycy na Warszawę równie szanowne przeszłością — Łowicz i Błonie; od Łodzi na Warszawę — przemysłowe Skierniewice, Żyrardów, Pruszków; na linii wreszcie Łęczycy i Łodzi: Ozorków i Zgierz, stare i przemysłowe razem.

Dookoła trójkąta wieńcem się rozłożyły odwieczne regiony naszej ojczyzny: Mazowsze, Podlasie, Małopolska, Śląsk, Wielkopolska, Kujawy, Pomorze, Warmia, Mazury — każdy z nich rdzenny, ojcowisty, gniazdowy. Od północy strzeże ich Bałtyk; na wschodzie zrasza je Bug; na południu wznosi się mur Karpat i Tatr, ówych gór, o których śpiewał poeta, że stoją „jak potopu świata fale, zamrożone w swoim biegu, by graniczny słup zuchwale"; od zachodu na straży tego polskiego koła szumi Nysa i Odra. A gdy spojrzeć na to koło z góry, widać, że pożyłkowane jest całe niebieskimi, splątanymi wielce niteczkami: to rzeki i rzeczki, dopływy, odnogi i kanały. Tworzą one w organizmie Polski tak zawiłą, bijącą wiecznym ruchem, sieć wodną, jak pogmatwany jest życiodajny ustrój tętnic w organizmie ludzkim. I, jak jedna kropla krwi obiec może całe nasze ciało, tak bodaj, gdybyśmy rozpoczęli rzeczną wędrówkę po Polsce kędyś, powiedzmy, od Raciborza, gdybyśmy popłynęli Odrą i jej przytokami do Noteci, Notecią przez Kanał Bydgoski wpłynęli w dorzecze Wisły — wrócilibyśmy Wisłą i jej dopływami w to samo bodaj miejsce. Odra i Wisła, zespolone kanałem, sprzęgły się w jeden wielki nierozdzielny systemat rzeczny Polski, obejmujący dziś razem 318 tysięcy km kw.

W książce Emila Ludwiga o Nilu, którą on nazwał filozoficznie „życiorysem rzeki", natrafiłem kiedyś na olśniewającą uwagę: Źródła Nilu i jego ujście, mimo że dzieli je sześć tysięcy kilometrów, leżą przy tym stopniu długości geograficznej: połączenie ich ołówkiem na mapie daje linię prostą, a linia prosta jest najkrótszą drogą, wiodącą do celu. Owóż, obserwuję na mapie, że tę samą tajemnicę prostoty, mimo swą łuczystość i krętość, posiada Wisła: i rodzi się i wpada do morza przy tym samym stopniu długości geograficznej, w połowie między 18-tym a 19-tym południkiem. Na linii prostej, łączącej początek i koniec Wisły, a przecinającej prawie przez pół kraj cały, ustawił się szereg odwiecznych lechickich miast: Tczew, Nowe, Grudziądz, Toruń, Uniejów, Sieradz, Lubliniec, Zabrze, Pszczyna... I Gdańsk zamyka swym portem systemat wielkiej rzeki polskiej Wisły, jak Kraków otwiera go swym Wawelem.

Pióra Żeromskiego trzeba, by pisać o Wiśle. Skąd się nazwa wiernej rzeki naszej wzięła? Brückner wiąże ją etymologicznie z takimi nazwami rzek słowiańskich, jak Swisłocz (dopływ Niemna), Isłocz (dopływ Berezyny), Isła i Islanka (obie w dorzeczu Wisły). Niegdyś musiała się Wisła zwać Świslą, w którym to słowie odpadła pierwsza nagłosowa spółgłoska „s". Swisła zaś powstała ze słowiańskiego pnia „wit", praaryjskiego „sweit", skąd polski „świt" i „światło" pochodzą: wszystko to oznacza jasność i białość. Promienne pierwiastki zamyka w sobie imię królowej rzek polskich, która już o brzasku historii naszej przyjęła w swe łono Wandę jako czystą ofiarę przeciw ciemnościom germańskim.

Odry imię inną ma w sobie symbolikę. Odra jest ostra w brzmieniu: ze słowa „drzeć" się rodzi. Odra mówi: ja drę, odzieram, rozdzieram. Odra rozdarła środkową Europę na dwie części: germańską i polską. Odra w X i XI stuleciu broniła Polski przed najazdami germańskimi, które się rozbijały o nią. Odrę wydzierali nam potem Germanie przez wieki i wydrzeć nie zdołali. Wróciła do nas, aby znowu rozdzielić dwa światy, z których jeden zawalił się, a drugi — wbrew wszystkim zamachom pierwszego — odrodził się do nowego życia. I dziwnym prawem powtarzalności wydarzeń, w odrodzeniu swym powrócił do swej kolebki, do swych pierwoźródeł, do swych siedzib starowiecznych, których granicę owego czasu Odra wytyczyła.

Cóż nakoniec słowo Bug oznacza? Trudne to słowo, niesłowiańskie: starogockie, może starowęgierskie, może nawet scytyjskie; niejasny jest jego wywód, choć Wincenty Kadłubek już w w. XII wykładał, że w czasach najbardziej zamierzchłych, może w III albo IV wieku, gdy się rozpoczynały wędrówki ludów, Słowianie lechiccy nazwę tej rzeki od Gotów przejęli: „bug" bowiem po gocku oznaczał: zgięcie, wygięcie, zagięcie — i wyraz ten wszedł do języka cerkiewno - słowiańskiego, gdzie znaczy „pierścień". Jest — że więc nasz Bug częścią pierścienia czyli koła, zakreślającego od wschodu obszar ziem prapolskich? A może być „zgięciem", gdzie się ongi zetknęły dziedziny lechickie z zagonami koczowniczych Gotów, którzy zatrzymali się czas niejaki nad Dunajem, ażeby później ogniem i mieczem spustoszyć całą Europę? A może Bug kryje w sobie ten sam pierwiastek, co wyraz „bugaj", którego zalążek jest orientalny — turecki, tatarski, madziarski, ugro-fiński, niewiedzieć doprawdy jaki? Oznaczałby Bug w takim razie byka czyli siłę i moc...

Zabawiliśmy się przypadkiem w semantykę czyli naukę o znaczeniu wyrazów. Jest w niej trochę fantazji, czynnik to bowiem twórczy i pobudzający energię. Skończyliśmy symboliczne oglądanie mapy Polski. Realnie rzecz biorąc, niech każdy z nas czuje się żywą kroplą krwi w jej nieśmiertelnym organizmie.

JERZY WYSZOMIRSKI

Marek Sadzewicz

GEFANGEŃSKIE PORACHUNKI

PRZECZYTAŁEM artykuł p. Tomasza Domaniewskiego „O duszy gefangena" i doznałem dość niesamowitego wrażenia. Wydało mi się oto, że czas się cofnął. Wciąż jeszcze jestem w obozie. Już po apelu wieczornym wszyscy leżą na kojach i toczy się zapalczywa dyskusja pomiędzy grupą starych jeńców z jednej i niedawno przybyłych „powstańców" z drugiej strony. Jeden z „powstańców" wychylił się ze swego trzeszczącego wyra gdzieś pod pułapem baraku i z wysokości swego stanowiska „osądza" gefangenów. Wypomina im, że omawianie bez końca składów paczek amerykańskich, kanadyjskich, angielskich i innych, dyskutowanie na temat wyższości konstrukcji piecyka do gotowania wrzątku, że „dobry handel czekoladą i papierosami — to ich świat". Że „rozważają na precyzyjnych wagach otrzymane przydziały, bacząc, aby nikt nie był przypadkiem o pół grama skrzywdzony". I że, w rezultacie, gefangeny, to „ludzie w całym tego słowa znaczeniu niemoralni. Nie nadają się po prostu do normalnego życia... „Do życia normalnego, twórczego nie powrócą już nigdy, a w najlepszym razie „długie jeszcze lata upłyną, nim „gefangeni" wyjdą zupełnie z obozów psychicznych, które ich dzielą od świata, nim zejdą z powrotem na ziemię".

Jednym słowem — do szpitala wariatów albo do przytułku. Na resztę życia, a przynajmniej „na długie lata". Bagatela. Około 20 tysięcy oficerów, a więc mężczyzn w sile wieku, ze średnim, conajmniej wykształceniem. Taki padł wyrok z górnej pryczy.

NIE lubiłem nigdy brać udziału w jałowych na ogół dyskusjach „sądowych". Ale teraz nie wytrzymałem. Więc i ja wesprę się łokciem o wypchany słomą „zagłówek", w dusznej ciemności nieprzewietrzonego baraku wypalę, co sądzę o „powstańcach".

Jakie to obyczaje wprowadziliście do naszej społeczności, opartej na zasadach, które uważaliśmy, jak dotąd za nienaruszalne wśród oficerów, dżentelmenów, kolegów. Zresztą w ogóle wpośród ludzi uczciwych.

Nasze poczucie cudzej własności wydaje się wam może staroświeckie. Ale kto wie, czy nie przydałoby się i wam w przyszłości, właśnie w normalnych czasach.

W ciasnocie życia obozowego często zdarzało się że jakaś drobna rzecz zginęła. Ale znalazła się zawsze i niezawodnie choćby to był i złoty zegarek. Kiedyście przyszli — nie można upranej bielizny powiesić na baraku — bo zginie. Mieliśmy taki kramik „obsłuż się sam" przy głównej ulicy obozu, gdzie na stoliku leżały papierośnice, cygarniczki, zapalniczki itp. Każdy przechodzień mógł sobie wybrać pożądany przedmiot i wrzucić zapłatę do skarbonki, podług wyznaczonej ceny. Nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś wziął i nie zapłacił. Kiedyście przyszli... kramik trzeba było zlikwidować. Podzielone porcje „pellkartofli", rzeczy bardzo upragnionej, leżały sobie spokojnie przed barakiem i zostawały nieraz na noc i nikt cudzego kartofla nie ruszył. Kiedyście przyszli...

PRAWDA, że u nas był „handelek czekoladą i papierosami". Ale prawdziwą czekoladą i prawdziwymi papierosami. Kiedyście przyszli, pojawiły się w handlu opieczętowane puszki od kawy, wypełnione tłuczoną cegłą.

Mieliśmy swój bank i pieniądz, oparty na „parytecie papierosa". Kto włożył do banku paczkę papierosów amerykańskich otrzymywał, odpowiednią ilość jednostek monetowych. Kiedyście przyszli, bank ogłosił bankructwo, bo w „skarbcu" znalazły się paczki od „amerykanów", wypełnione „machorkowymi".

Przynieśliście nowe, nam nieznane słowo „szaber". Myśmy pytali, czy w polskim języku nie nazywa się to inaczej? Mówi Pan, że w sławnym, wielotygodniowym marszu ewakuacyjnym na zachód starzy jeńcy „załamywali się, przestawali być czasami ludźmi". Natomiast „kolumna jeńców A. K... maszerowała sobie wesoło, rozglądając się na boki, gdzie by tu coś wyszabrować, albo przehandlować"...

JAKI to był „szaberek" i jaki „handelek" też by można powiedzieć. Pamiętam, jak jeden z kolegów padł chory na drodze, został za kolumną i wachman wsadził go na wóz bagażowy, należący do nadciągającej właśnie kolumny powstańczej. Chory był nieprzytomny. „Koledzy" ograbili go z posiadanego zapasu żywności, co w danych warunkach mogło się równać wyrokowi śmierci. Tejże nocy, w tejże kolumnie pewni „oficerowie" popruli śpiącym, nożami sakwy z żywnością i skradli zawartość. Takich „oficerów" myśmy nie znali".

W KOŃCU wylądowaliśmy wszyscy w Sandbostel, koło Bremy (widzę z tego wszystkiego, że jedną odbywaliśmy drogę). I poco to wspominać? Zastaliśmy już tam „waszych", którzy wcześniej przybyli. Mieli pewne zasoby, bo dostali paczki amerykańskie. Myśmy byli wygłodniali i nie mieliśmy nic. Otoczyli nas wasi „handlowcy". Zegarek — za 10 papierosów. Buty — za kawałek chleba. Na głodnych łatwo się było wzbogacić, chociaż to przecież, nie przywiązywaliście wagi do „dóbr" obozowych. Nie tak to myśmy witali was, kiedyście do nas przyszli...

„Starzy jeńcy" ważyli przydziały na „precezyjnych wagach". Może to i śmieszne, ale nie w warunkach głodu, kiedy uszczuplenie minimalnej porcji chleba, czy kartofli było rzeczywistą krzywdą.

Spotkałem tam przedwojennego majora spośród „waszych". Powiedział mi, że jest „żywnościowym" w plutonie i w związku z tym powodzi mu się lepiej. To znaczy, że co? Znaczy, że nie używa śmiesznej „precyzyjnej wagi" i okrada głodnych kolegów. Nie, doprawdy. Ma Pan rację. Nie mogliśmy się zrozumieć.

I WY NAM, „ciemnym gefangenom" mówicie, że to wszystko, co robicie, to jest „normalne"? I że wy jesteście zdolni do „normalnego" życia? Więc, jakie ma być to „normalne" życie? Wkrótce po wyjściu (z tegoż Sandbostel) na wolności przekonacie się w angielskim kryminale.

*

TO BYM pewno powiedział, gdyby dyskusja toczyła się jeszcze tam, w baraku, z wyrka do wyrka, wśród świeżych, zaognionych wzajemnych „krzywd" i oskarżeń, jednym słowem — gefangeńskich porachunków. Może bym i dodał, podobnie jak Pan, na pociechę: „Ja was nie oskarżam. Wyście nie winni, że jesteście tacy, jacy jesteście. Takimi uczyniły was warunki okupacyjne".

No i do ładnych doszlibyśmy rezultatów. Z jednej strony starzy jeńcy kompletnie zidiocieli. Z drugiej — „powstańcy": szabrownicy i oszuści. Ładne towarzystwo. Co?

* *

ALE na szczęście czasy to już przeszłe. Można pozwolić sobie i na odrobinę obiektywizmu. Przypominam sobie przecież, że spotkałem wśród powstańców dawnych przyjaciół z przed wojny. Żaden z nich nie stał się złodziejem, mimo „warunków okupacyjnych". Podobnie nie wszystkich „gefangenów" warunki obozowe uczyniły idiotami. Wydaje mi się nawet pewne, że wśród „warszawiaków" (tzn. wziętych do niewoli w rezultacie powstania) element przestępczy (nazywając rzeczy po imieniu) stanowił tylko niewielką część, chociaż swoimi czynami mógł zaważyć na opinii ogółu. Dobrze przecież są znane skutki demoralizacji wojennej i okupacyjnej. Nieprędko one jeszcze ustąpią. Nic dziwnego, że były również widoczne i wśród grupy powstańczej, która zetknęła się ze starymi jeńcami.

TAK się składa, że, sądząc z treści artykułu, byliśmy z p. Domaniewskim w jednym obozie. Znałem cały „aktyw" obozowy, zarówno z grupy „starej", jak i „powstańczej". O p. Domaniewskim nie słyszałem. Pytałem innych — też nie znali. Stąd wnoszę, że trzymał się zapewne gdzieś na uboczu na obozowej „prowincji", w zaułku, na peryferii, wśród ludzi, prowadzących bezczynny tryb życia, wiernie przezeń opisany i przypisany ogółowi. Stąd też zapewne zacieśnienie perspektywy, którego należałoby unikać przy ferowaniu sądów i budowaniu uogólnień.

Byli rzeczywiście i tacy jeńcy, którym sześć lat bezmała zeszło na grze w brydża, dyskusjach „paczkowych", piciu kawy, drzemce i bezmyślnym wałęsaniu się po obozie. O tych można powiedzieć, że — przegrali niewolę. Właśnie to ci siedzą jeszcze do dziś po obozach i po kwaterach wiejskich w Niemczech, gotują na kuchenkach i boją się nosa wyściubić na świat. Jeżeli się jednak mówi o tych, należałoby też wspomnieć i o innych, którzy właśnie niewolę — wygrali.

ANI tu czas, ani tu miejsce na monografię obozu jeńców. Ale ktokolwiek z nas wspomni, co tam, w tym obozie było i co się robiło, to i dziś może jeszcze odczuwać pewną dumę, jeżeli nie we własnym imieniu, to w imieniu właśnie owej zbiorowości jeńców. Bo w warunkach kompletnie jałowej rzeczywistości, na którą składały się druty kolczaste, drewniane baraki, błotniste ścieżki i wachmani na wieżach, potrafiono stworzyć bujne, barwne i dość bogate w treść życie właściwie — z niczego.

Teatr, a nawet dwa teatry (wielka i mała scena) z chórami, baletem, bogatym, zmiennym i różnostronnym repertuarem, wspaniałą kostiumerią (z czego?!), efektami świetlnymi (a to, w jaki sposób?!), dekoracjami (z czego?), dwa dzienniki, kilkanaście tygodników, liczne koła naukowe, dwie wielkie biblioteki, handel, przemysł, rzemiosła, pracownie malarzy, grafików, rzeźbiarzy i innych plastyków, ożywione życie polityczne, sport, kawiarnia, czegoż tam jeszcze nie było.

Jak można dzisiaj sądzić z różnych ocalałych strzępów i skonfrontować, to artykuły w tej prasie nie były tak bardzo głupie, poglądy wyrażane w dyskusjach absurdalne, ani dzieła sztuki poronione. Niektóre spośród prac naukowych i innych, dokonanych w obozie i ocalałych doczekały się obecnie wydań i wytrzymały zwycięsko próbę życia.

Pewne, że wiele tam było i śmiesznostek i dziwactw. Humor obozowy wydrwiwał je bezlitośnie. Można to i dziś odtworzyć z ocalałych roczników jenieckich czasopism Ale kto się ze swoich śmiesznostek sam śmieje, ten je widzi i właściwie ocenia. Czyli, że stan nie jest — beznadziejny.

TO w samym obozie. A w zetknięciu z życiem? Wśród byłych jeńców — sześciolatków mamy i ministrów i profesorów (potrafiłbym ich wymienić), wysokich urzędników i artystów i pisarzy i dziennikarzy i architektów, inżynierów, nauczycieli i polityków. Jeżeli to wszystko „nienormalni", to ładne rzeczy. W szczególnym kraju żyjemy. Ludzie to czynni, aktywni, nie dający się zdystansować, dystansujący, zdobywczy. Wielu pogłębiło swoją wiedzę, pracując usilnie w obozie i studiując — niekoniecznie — jak chce p. Domaniewski „zupełnie niebywałe rzeczy". Byli i tacy, co zyskali nowy zawód. Tak np. pewien oficer zawodowy stał się wykwalifikowanym technikiem dentystycznym, inny — otrzymał engagement aktorskie, chociaż przed wojną był kawalerzystą. Znam (wszyscy go znają) prezesa wielkiej instytucji, który mówi, że chętnie obsadziłby „gefangenami" wszystkie odpowiedzialne stanowiska u siebie. „,Gefangen? dawać go tutaj". Woła, spojrzawszy na kandydata na posadę.

A i na ogół — jeżeli już uogólniać — gefangeny, jak słychać nie cieszą się najgorszą opinią na zajmowanych stanowiskach. Początkowo zarzucano gefangenom przestarzałość poglądów na różne kwestie dnia codziennego. Ale praktyka życiowa okazuje, że niektóre staroświeckie rekwizyty, jak np. siódme przykazanie pewnego, bardzo już starego dekalogu pożytecznie jest zachować i dzisiaj.

ZAGADNIENIE niewoli, Oflagów nie jest bagatelne. Pamiętajmy, że to przecież cała prawie armia 1939 roku dostała się do niewoli. Było to więc przeżycie o charakterze powszechnym. Nie jest tedy rzeczą obojętną, jakeśmy tę długoletnią niewolę znieśli. Jeżeli chodzi o bezstronnych obserwatorów z czasów jej trwania, to warto sięgnąć do raportów delegatów duńskiego Czerwonego Krzyża, sprawującego opiekę nad polskimi obozami jeńców wojennych. Stwierdza ją one „kapitalną żywotność" elementu polskiego oraz to, że polskie obozy jeńców wyróżniają się spośród innych organizacją, postawą moralną i natężeniem pracy oraz życia kulturalnego.

Zawsze to lepsze, niż „głęboka litość", jaką sześcioletnim jeńcom okazuje ze swej wysokości p. Domaniewski. Bo świadczy, że nasza siła psychiczna w większości wypadków potrafiła zwyciężyć „chorobę drutów".

A tęga to musiała być choroba, jeśli nie wywietrzała z głowy jeszcze dotąd po niektórym takim, co siedzieli zaledwie pół roku, a do tej pory wdają się w gefangeńskie porachunki.

List do Redakcji

W związku z artykułem p. Tomasza Domaniewskiego „O duszy gefangena", proszę uprzejmie Redakcję o umieszczenie tego listu w najbliższym, o ile to jest możliwe, numerze „Tygodnia".

Nie znam intencji p. Domaniewskiego, nie wiem, jakimi kierował się pobudkami, stwierdzam tylko, że w żadnym wypadku nie można pozwolić na kształtowanie opinii publicznej o byłych jeńcach wojennych w duchu powyższego artykułu.

Czyżby istotnie autorowi chodziło tylko o wydanie obiektywnego sądu o ludziach, którzy sześć lat wojny spędzili w oficerskich obozach jenieckich? Czyżby istotnie autor nie napisał tego przez złośliwość, jak to sam podkreśla w połowie artykułu, a w dalszym ciągu starannie uwypukla momenty ośmieszające „gefangenów"?

Jestem daleki od posądzania autora o tę tendencję, nie mniej jednak muszę stwierdzić, że nie przemyślał on należycie tematu, tak samo, jak przedtem nie potrafił poddać dokładnej analizie swoich obserwacji za drutami. Patrzył przez pryzmat swojej wyższości człowieka „wolnego" na szarzyznę życia "gefangenów", skrzętnie notował w pamięci powierzchowne obserwacje i to wszystko poto, żeby napisać „O duszy „gefangena" i scharakteryzować „olbrzymią większość" tych ludzi, jako zdziwaczałych.

A przecież wszystkim wiadomo, że tysiące „sześciolatków" zajmuje dziś poważne stanowiska w życiu politycznym i gospodarczym kraju, że wiele katedr profesorskich jest obsadzonych przez byłych jeńców z r. 1939, że wnieśli oni poważny wkład w życie kulturalne kraju, że świadectwa ukończenia Wyższego Kursu Nauczycielskiego w obozie IIC w Woldenbergu zostały uznane przez Ministerstwo Oświaty, że wreszcie opinia ogółu została mile rozczarowana, zetknąwszy się z tą godną „najgłębszego współczucia" grupą ludzi, znajdując ich w doskonałej formie i w pełni przygotowanych do rozpoczęcia życia w nowych warunkach.

Wydaje się wprost nieprawdopodobne, żeby wszystko to było wynikiem dyskusji na temat paczek, „nestki", przydziałów, jakości turbinek powietrznych do piecyków i gotowania zupek.

(Ciąg dalszy obok.)

Silva Rerum

JAK POWSTAŁ DUŻY FORMAT DZIENNIKA?

Do XIX wieku wszystkie dzienniki posiadały format mały, książkowy. Ale w Anglii w 1820 r. wprowadzono podatek stemplowy od ilości arkuszy, a nie od ich wielkości, wyrosły angielskie dzienniki do niebywałych rozmiarów.

Na pierwszym miejscu pod tym względem znalazł się „Times", który wydawał jedynie jeden arkusz, ale takiej wielkości, jakiej wymagał bieżący materiał. Numer „Timesa" z dnia 19 stycznia 1820 roku miał 4 stopy długości, a 2 szerokości, zawierał 88 szpalt i około 150.000 słów. Był to największy format dziennika, jaki kiedykolwiek się ukazał.

Do dzisiaj pisma angielskie i amerykańskie odznaczają się dużym formatem, co sprawia, że są bardzo niewygodne do czytania, zwłaszcza, że używają także drobnych czcionek.

WYNALAZEK BIBUŁY

Jak wiele innych wynalazków, wynalezienie bibuły do atramentu jest dziełem przypadku. W jednej z papierni w Berkeshire w Anglii robotnik zapomniał dodać do kotła z masą papierową odpowiedniej ilości kleju. Roztargnienie swoje przepłacił utratą pracy.

Wkrótce jednak właściciel papierni przekonał się, że papier wyprodukowany bez kleju wchłania nadmiar atramentu, pozostawiając samo pismo. Rozpoczął więc eksploatację „swojego wynalazku".

„PLAGIAT" LEONCAVALLA

Leoncavallo, znalazłszy się w czasie premiery swej opery w pewnym mieście postanowił incognito przysłuchać się swojej operze „Pajace", którą właśnie tam wystawiono. Zajął więc miejsce w fotelu i przysłuchiwał się w milczeniu.

Po ukończeniu opery jakiś pan, który zajmował miejsce w sąsiednim fotelu, począł głośno wyrażać swój zachwyt:

— Co za arcydzieło! Co za cudowna muzyka!

Kompozytorowi wpadło wówczas na myśl zabawić się w krytyka swego własnego utworu i w tym celu począł się sprzeczać ze swoim przygodnym wielbicielem:

— Arcydzieło? Ależ mowy o tym nie ma, jestem sam muzykiem i trochę się znam na tym. Ta opera jest niewiele warta. Nie chciałbym panu zrobić przykrości i rozczarować go, ale muszę stwierdzić, że wszystko w niej jest naśladownictwem lub wprost plagiatem. Niech pan posłucha. Kawatina jest zupełnym powtórzeniem z Berlirza, duet pierwszego aktu wzięty wprost z Guonoda, a finał jest marną kopią Verdiego.

Nazajutrz rano Leoncavallo przed wyjazdem kupił na stacji kolejowej egzemplarz jednego z najpoczytniejszych dzienników miejscowych, a otworzywszy, napotkał dużymi literami wydrukowany tytuł artykułu: „Co mówi o swoich „Pajacach" mistrz, Leoncavallo? Przyznaje się do plagiatu. Cała opera jest tylko naśladownictwem, pozbawionym wszelkiej oryginalności".

Na czoło kompozytora wystąpił zimny pot. Najprawdopodobniej poznał go wczorajszy sąsiad w operze, widocznie sprawozdawca muzyczny miejscowego dziennika, który słowa jego wziął za dobrą monetę i powtórzył wiernie całą z nim rozmowę w swoim dzienniku.

(Dokończenie listu)

„To był ich świat" stwierdza autor z nutką współczucia i w dalszym ciągu charakteryzuje „gefangenów" pod kątem humorystycznych z perspektyw trzech lat. Życie kulturalno-oświatowe obozu jest dla autora nieudaną próbą samoobrony przed zdziwaczeniem. Praca twórcza, studia, kształcenie intelektu, wewnętrzna praca nad sobą — wszystko to nie ma żadnego znaczenia i nie może być przedmiotem przeżyć w pojęciu autora Nie mówię już o biernym przeżywaniu tragedii rodzin pozostałych w kraju, o przeżywaniu cierpień całego narodu i Warszawy.

W jednym punkcie zgadzam się całkowicie z autorem — „gefangeni", poza nielicznymi wyjątkami, nie potrafili „pohandlować" i „coś wyszabrować", nie przypuszczam jednak, żeby brak tych zdolności świadczył o ich załamaniu psychicznym w czasie marszu z Grossborn do Bremy, gdyż i przedtem ludziom tym pojęcie szabru było obce.

Cieszę się, że jestem w stanie autorowi wyjaśnić to, czego nie potrafił zrozumieć i co, moim zdaniem, skłoniło go do napisania „niezłośliwego" artykułu „O duszy „gefangena".

„Po trzech dniach rewelacje nasze przestały być dla nich sensacją i wrócili do swojego życia. Wrócili do menażek, misternie skonstruowanych piecyków, paczek czerwonokrzyskich i przydziałów".

Te dwa zdania są motorem i duszą całego artykułu, są wyrazem podświadomego żalu i urazy, jakiej ludzie doznają, gdy ktoś nie podziela ich zdania co do ciężaru gatunkowego takiej czy innej sprawy, bądź co gorsza wcale ich nie chce słuchać. Sam zetknąłem się w Woldenbergu z wieloma powstańcami i też wkrótce znużyły mnie ich sensacje. Nie dlatego, żebym nie przeżywał tragedii swego ukochanego miasta, nie dlatego, żebym nie okazywał żadnego zainteresowania losem kraju i narodu, nie dlatego, żebym nie odczuwał najwyższego szacunku i czci dla bohaterskiego ludu Warszawy, a po prostu dlatego, że znużył mnie egocentryzm „rewelacji". Tego samego uczucia znużenia doznali inni mieszkańcy obozu.

W opowiadaniu każdego powstańca głównym motywem mniej lub więcej subtelnie ukrytym było własne bohaterstwo, a myśmy się rozprawili już raz na zawsze z bohaterskimi opowiadaniami jeszcze w r. 1939. Zdobyliśmy się na dużą dozę samokrytycyzmu i w krótkim czasie przekonaliśmy bardziej opornych o nieprzyzwoitości autoreklamy bohaterstwa. Toteż, gdy w r. 1944 spotkaliśmy się ponownie z tym samym zjawiskiem, nie można się dziwić, że „rewelacje" nowoprzybyłych jeńców przestały wzbudzać po pewnym czasie „sensacje". Nie dlatego, żebyśmy dążyli do powrotu „do swojego życia", do menażek, piecyków i paczek, jak to „niezłośliwie" podkreśla autor, lecz tylko dlatego, że nie chcieliśmy z rzeczy wielkich i świętych robić sensacji.

W zakończeniu swego artykułu autor stwierdza, że kiedyś chlubił się zdolnością odróżniania „gefangenów" na dziesięć metrów i, aczkolwiek zmienił swoje uczucie pogardy na wspaniałomyślną życzliwość, w dalszym ciągu zdolność tę zachował. Nie przeciętna zdolność, jakiej mógłby pozazdrościć niejeden psycholog. Wnikliwe obserwacje i głębokie podejście psychologiczne przyczyniły się widocznie do sposobu ujęcia i formy artykułu „O duszy „gefangena". Po co jednak okazywać litość i współczucie tam, gdzie nikt o to nie prosi?

KRONIKA KULTURALNA

POZWOLIMY sobie zacytować urywek z ostatniego felietonu Kisiela w „Tygodniku Powszechnym" (№ 38/131): „W dawnych, dobrych czasach, gdy chodziłem jeszcze na uniwersytet warszawski... zdarzył mi się niezbyt chlubny wypadek. Dyskutowałem zajadle z pewnym, szkolnym jeszcze kolegą, zagorzałym moim przeciwnikiem politycznym... Podniecony i rozwścieczony krzyczałem do owego kolegi z nader bliskiej odległości, trzymając go za guzik i plując często gęsto (niestety, nie mogę oduczyć się nieszczęsnego zwyczaju plucia, gdy jestem rozgniewany — cechę tę dzielę z kotem i muchą-plują). Naokoło zebrał się tłum kolegów... Oponent ze stoickim spokojem wysłuchał wszystkich moich argumentów, poczem, gdy się wreszcie wywrzeszczałem i zamilkłem, wyjął chusteczkę, otarł twarz i spokojnym głosem powiedział trzy słowa: śmierdzi ci z gęby!... Zastygłem i skamieniałem w postawie żony Lota z idiotycznie otwartymi ustami... naokoło zagrzechotał istny grzmot śmiechu... nawet nie mogłem sprawdzić, czy rzeczywiście śmierdzi mi z gęby, bo trudno wszak wtłoczyć do takowej własny nos, a nikt z kolegów nie miał specjalnej ochoty na pożyczenie mi w tym celu swego prywatnego organu powonienia". — Zwracamy uwagę czytelników na tytuł naszej rubryki: jest to **kronika kulturalna** — podkreślamy: kul-tu-ral-na. Przedrukowujemy więc w niej urywek z Kisiela, jako przyczynek do dziejów kultury rodzimej.

●

JAK NIE NALEŻY recenzować poetów, demonstruje tenże Dobraczyński, w tymże numerze „Dziś i Jutro", na Aleksandrze Rymkiewiczu. Dobraczyński pisze: „Nie ma w Rymkiewiczu walki o wyrażenie skłębień myśli, jak u Bąka. Nie ma w nim rozigrania poetyckiego, księżycowego... jak u Miłosza. Nie ma w nim werbli bijących... jak u Broniewskiego. Nie ma w nim cierpiętliwej zadumy... jak u Jastruna. Nie ma w nim onomatopeicznej kadencji... jak u Zagórskiego. Nie ma w nim proletariackiej pasji, jak u Dobrzyńskiego. Nie ma w nim akrobatyki słowa, jak u Gałczyńskiego. Nie ma w nim melodyjnej zadumy, jak u Pietrkiewicza". Cóż więc, na miły Bóg, w nim jest? — bo i wodolejstwa, bo i nieodpowiedzialności za słowo, jak u Dobraczyńskiego, też w nim nie ma. I Dobraczyński odpowiada: „jest w nim własny i tylko własny ton". Jak na Dobraczyńskiego niedobrze to powiedziane. Trzeba było napisać: „jest w nim własny, li tylko własny i wyłącznie własny ton".

●

W NR 260 „GAZETY LUDOWEJ" pojawił się artykuł pt. „Dziwna polityka wydawnicza", w którym omówiono ostatnie wydawnictwa Państwowego Instytutu Wydawniczego, przede wszystkim „Klub Pickwicka" Dickensa. Oto opinia autora artykułu — p. J. B.:

●

„Czy starzy i młodzi rzucą się na tego klasyka angielskiego, mimo wszystko trącącego już myszką? ..Komu to jest naprawdę potrzebne?... Tego rodzaju pociągnięcie wydawnicze wydaje się dziwne... na tej ilości papieru można było wydrukować coś innego, coś w tej chwili dla czytającego ogółu polskiego potrzebniejszego". I p. J. B. uważa, że bardziej potrzebna byłaby Orzeszkowa, nade wszystko zaś Sienkiewicz, co do którego p. I. W. posiada wyłączne prawa wydawnicze. Trzeba się zgodzić z p. J. B. że klasycy polscy winni mieć pierwszeństwo przed obcymi. Racja. Każdy naród myśli nasamprzód o własnych pisarzach. Jak się okazało następnie z komunikatu P. I. W., pisma zbiorowe Sienkiewicza są w opracowaniu i będą stopniowo wypuszczane wkrótce na rynek księgarski. Ale niepodobna przystać na ocenę „Klubu Pickwicka" i Dickensa w ogóle, jaką dał p. J. B. Dickens trącący myszką i nikomu niepotrzebny? Dickens jest jednym z najbardziej humanitarnych pisarzów świata, człowiekiem wielkiego serca, dobroci i miłości bliźniego; szczególnie gorącym uczuciem darzy dzieci, a kto kocha dzieci, nie może być nikomu niepotrzebny. Dickens zawsze jest rzecznikiem i obrońcą uciśnionych, skrzywdzonych, prześladowanych i nieszczęśliwych; zawsze bojownikiem praw człowieka i szacunku dla jego godności. Wstyd nam, że musimy takie rzeczy tłumaczyć p. J. B., który w swojej krytyce Dickensa wykazuje, że albo nie czytał nigdy, albo poza własną parafią nie chce widzieć świata.

●

Ale, gdy mowa o „własnej parafii", należy również czytać Dickensa. Gdyby nie on, nie mielibyśmy zapewne Bolesława Prusa, którego sprawiedliwie stawiamy na pierwszym miejscu wśród naszych powieściopisarzów. Trzeba znać „Klub Pickwicka", żeby się rozsmakować w humorze „Lalki". Bo Dickens — to szczyty „humoru" — owego „Wielkiego Humoru", jak go nazywa psychologia, który nie może istnieć bez głębokiego poczucia tragizmu istnienia, a który chce ten tragizm prześwietlić i przezwyciężyć.

●

Dickens trącący myszką? Cóż to za nieporozumienie! Dickens jest nie tylko niepożyty przez swój humanitaryzm i humor, ale może być w niejednej okoliczności aktualny, w niejednej á propos. Zamyślmy się nad powiedzonkami Sama Wellera, służącego pana Pickwicka, a przekonamy się, jaka z nich płynie mądrość życiowa. Przyjrzyjmy się walce, jaką w „Klubie Pickwicka" toczą dwa pisma — „Gazeta Eatanswillska" i „Niepodległość" — naśmiejmy się z redaktora Potta („pott" znaczy „garnek"), a poznamy „duszę" dziennikarstwa. Albo otwórzmy „Klub Pickwicka" na rozdziale XIII, noszącym taki tytuł: „Wiadomości o Eatanswillu, o stronnictwach rozdzielających je tudzież o wyborze członka do parlamentu przez ten gród starożytny, lojalny i patriotyczny". Zobaczmy, jakich sposobów używa mister Slumkey, aby zdobyć mandat, jak demonstruje swój demokratyzm, ściskając publicznie ręce ludzi z gminu („należycie wymytych") i całując po główkach dzieci na rękach matek, specjalnie w tym celu przez jego naganiacza wyborczego przygotowanych. Grzmot oklasków zebranego tłumu towarzyszy tym produkcjom mister Slumkeya — i mandat jest zapewniony. Albo weźmy opis zgromadzenia religijnego metodystów w rozdziale XXII: jakże przyziemne bywają interesy tych, których wargi głoszą najwznioślejsze ideały chrześcijaństwa!

●

Ale co tam wyliczać! „Klub Pickwicka" trzeba czytać od deski do deski.

St. Łatka



Rys. Jan Lenica

— Jak się pisze „miłość", panie Zenonie?

— To się nie pisze, to się robi, panno Klotyldo...

DZIEŃ SPÓŁDZIELCZOŚCI w ANGLII
SPÓŁDZIELCZOŚĆ POLSKA STAWIANA JAKO PRZYKŁAD

Niedawno na całym terenie Wielkiej Brytanii obchodzono 25-lecie powstania ruchu spółdzielczego.

Dowodem wzrastającego rozwoju ruchu spółdzielczego w Wielkiej Brytanii jest fakt, że od chwili, gdy po raz pierwszy święcono dzień spółdzielczości, liczba członków wzrosła z 4.500.000 do 9.500.000. W większości miast odbyły się festiwale i zjazdy, w mniejszych miastach były to od wybuchu II-ej Wojny Światowej pierwsze obchody dnia spółdzielczości.

Największe rozmiary przybrały obchody w Manchester, wielkim centrum przemysłu bawełnianego hrabstwa Lancashire.

Wieczorem, na uroczystej akademii w Manchester przemawiał lord Rusholme, prezes Międzynarodowego Związku Spółdzielczego, który mówił o Międzynarodowym Spółdzielczym Zrzeszeniu Naftowym, podkreślając wielkie znaczenie tej instytucji:

„Pewien jestem, że wszyscy uznają doniosłość działalności kooperatywy demokratycznej dla rozwoju tego przemysłu oraz dla zapewnienia właściwego sposobu dostarczania i rozdziału tego podstawowego surowca, aby nie był on przedmiotem wyzysku zarówno producentów jak i konsumentów. Wielu ludzi — dodał lord Rusholme — nie zdawało sobie sprawy z pracy I. C. A. (International Cooperation Alliance), która to organizacja grupuje 28 zrzeszeń spółdzielczych, posiadających łącznie ponad 90 milionów członków. Podczas II Wojny Światowej praca Międzynarodowego Związku Spółdzielczego była bardzo utrudniona, przez brak kontaktu z ruchem spółdzielczym w krajach okupowanych. Jednak w kilka miesięcy po ustaniu działań wojennych odbyła się w Londynie pierwsza Międzynarodowa Konferencja; zaś ubiegłego roku obradował w Zürichu pierwszy powojenny Międzynarodowy Kongres I.C.A. szybko podjął swój powojenny program. — Jestem szczęśliwy— mówił dalej lord Rusholme — mogąc stwierdzić, że I.C.A. zajęło stanowisko członka pierwszej kategorii Gospodarczo - Społecznej Rady OZN. Oznacza to, że spółdzielcy całego świata mają możność przedstawiać światowej organizacji narodów swoje raporty i sprawozdania, dotyczące działalności gospodarczej. Jesteśmy reprezentowani w Organizacji dla Wyżywienia i Rolnictwa, w UNESCO, oraz w konferencjach, które stworzyły Międzynarodową Organizację Handlową. Wszędzie tam sprawujemy rolę strażnika, pilnującego interesów szarego człowieka oraz dbamy o to, by stale rozszerzać współpracę pomiędzy wszystkimi narodami świata, gdyż od tego zależy przyszłe szczęście i dobrobyt ludzkości".

Brytyjski minister Obrony Narodowej, A. V. Alexander, przemawiał na akademii w Duncaster, jednym z miast hrabstwa Yorkshire. Przypomniał on słuchaczom, że pomimo rozbicia ruchu spółdzielczego w wielu krajach w czasie II Wojny Światowej, ruch ten obecnie dźwiga się niezwykle szybko, szczególnie w Polsce, gdzie posiada już 3 miliony członków, a także w Czechosłowacji, Austrii, Chinach i Stanach Zjednoczonych.

„W Wielkiej Brytanii mamy pewne trudności z odbudową spółdzielczości, ze względu na cały długi szereg niezwykle pilnych spraw, których załatwienia domaga się nasze obecne życie, jednakże widzimy wiele pocieszających objawów jego rozwoju i mamy prawo pokładać wielkie nadzieje na przyszszłość".

SPÓŁDZIELNIE ZBYTU PRODUKTÓW ZWIERZĘCYCH W ŁODZI
UL. INŻYNIERSKA 1

Telefony: Dyrekcja: 130-51 i 173-69.
Biuro i hurt. mięsa: 105-48.

Oddziały: Łęczyca, Kiernozia, Rusiec, Łask, Sieradz, Rawa Mazowiecka

Wytwórnie wędlin w Łodzi:
ul. Tuszyńska 19, tel.: 187-12
ul. Kilińskiego 100, tel.: 144-54

Sklepy w Łodzi:
ul. Tuszyńska 19
„ Kilińskiego 100
„ Piotrkowska 290

191

Okręgowy Oddział Włókienniczy
w Radomiu

Okręgowy Oddział Włókienniczy w Radomiu (ul. Czachowskiego 6) istnieje od 1 października 1946 roku. Działalnością swoją obejmuje teren województwa kieleckiego zaopatrując hurtowo w towary 8 powiatowych Oddziałów i 2 składnice „Społem", 7 spółdzielni powszechnych wielosklepowych oraz 23 powiatowe spółdzielnie rolniczo - handlowe. Niezależnie od tego Oddział zaopatruje detalicznie wszystkie spółdzielnie wiejskie i Samopomocy Chłopskiej na terenie powiatu radomskiego w ogólnej liczbie 72.

Dla udogodnienia zakupów poszczególnym odbiorcom kierownictwo Oddziału wydzieliło oddzielne magazyny dla odbiorców hurtowych (Oddziały „Społem") i detalicznych (spółdzielnie wiejskie). Zastosowano również oddzielny podział magazynów na towary: 1) w ramach akcji przemysłu dla wsi, 2) wolnorynkowe i 3) reglamentowane.

Towary w ramach akcji przemysłu dla wsi są rozprowadzane wyłącznie przez aparat spółdzielczy. Towary reglamentowane trafiają do ludności za pośrednictwem spółdzielni i konsumu firmy „Bata".

Na terenie woj. kieleckiego pracuje obecnie 25 specjalnych spółdzielczych sklepów branżowych, 68 działów branżowych i 1 stragan na targu. Na rok bieżący spółdzielczość województwa projektuje otwarcie dalszych 70 sklepów, 28 działów i 68 straganów.

Obroty Oddziału za 3 miesiące 1946 r. wynosiły 142.075.000 złotych. Styczeń br. przyniósł 100.209.000 złotych, a luty — tylko 45 milionów. Ten poważny spadek obrotów w lutym br. przypisać należy złym warunkom komunikacyjnym, wywołanym przez mrozy i opady śnieżne. Dodać należy, że Oddział przy dzisiejszej już spółdzielczej sieci detalicznej sprzedaży, mógłby rozprowadzić znacznie więcej towarów. Stoją temu na przeszkodzie poważne braki w dostawach. Stąd też Oddział w chwili obecnej nie jest w stanie pokryć zapotrzebowania spółdzielni.

W kilku wypadkach Oddział skutecznie interweniował na miejscowym rynku w zakresie zniżki zbyt wyśrubowanych cen. Tak było z ceną tzw. „patentek" (pończochy dziecinne), których cena z 4.000 zł spadła do 1.800 zł za tuzin, tylko dzięki temu, że Oddział rzucił na rynek większą ilość tego artykułu. Tak też było z ceną 100 proc. wełny ubraniowej, która dzięki interwencji Oddziału spadła prawie o 50 proc.

Dla równomiernego zaopatrzenia ludności w towary włókiennicze opracowano przy udziale przedstawicieli spółdzielczości z terenu województwa specjalny rozdzielnik, w którym wzięto pod uwagę ilość mieszkańców każdego powiatu i stopień zniszczenia przez działania wojenne.

Oddział w chwili obecnej zatrudnia 36 pracowników, a kierownictwo jego spoczywa w ręku p. Aleksandra Trzcińskiego, pracownika „Społem" od 1936 roku.

Pojemność magazynów Oddziału wynosi 653 m kw. Jest to w stosunku do potrzeb Oddziału stanowczo zbyt mało.

Niewątpliwie sytuację pod tym względem wydatnie poprawi projektowana przez Centralę „Społem" w 1947 r. budowa w Radomiu nowych magazynów. (a)

ODDZIAŁ POWIATOWY W GARWOLINIE

Już na początku bieżącego stulecia istniał w Garwolinie Okręgowy Związek Spółdzielni Spożywców. W dniu 1 stycznia 1938 r. Okręgowy Związek Spółdzielni Spożywców przejęty został przez „Społem", a od sierpnia 1944 r. działalnością objął teren całego powiatu garwolińskiego, otrzymując nazwę Oddziału Związku Gospodarczego Spółdzielni R.P. „Społem" w Garwolinie (ul. Lubelska 4).

Oddział zaopatruje w towary 42 Spółdzielnie z terenu powiatu Garwolińskiego, 3 — z pow. Mińsko-Mazowieckiego i 4 — z pow. Łukowskiego. Oddział jest członkiem Giełdy Zbożowo - Towarowej w Warszawie i poza działem spożywczo-kolonialnym prowadzi: artykuły tekstylne, materiały budowlane, artykuły gospodarstwa domowego, maszyny i narzędzia rolnicze, nawozy sztuczne, materiały pędne i artykuły kartkowe, a także dokonuje skupu zboża dla Funduszu Aprowizacyjnego. Obok tego Oddział prowadzi hurtownię wyrobów P.M.S., soli, zapałek, wyrobów tytoniowych i drożdży.

Magazyny Oddziału, rozrzucone w czterech punktach miasta, są niewystarczające. Jeden magazyn tzw. przelotowy z bocznicą kolejową położony jest przy stacji kolejowej. Pozostałe magazyny w mieście, oddalone są od stacji kolejowej o 5 klm., co stwarza duże trudności transportowe. W porozumieniu z władzami miejskimi został wytypowany plac, na którym w przyszłości wzniesione zostaną nowe magazyny i biura Oddziału. Sprawa kupna tego placu znajduje się w tej chwili w stadium pertraktacyj. Budowa nowych na tym placu pomieszczeń magazynowych i biurowych rozpocznie się w roku przyszłym. Tabor Oddziału składa się z 3 samochodów ciężarowych. Jest to stanowczo za mało. Przydałyby się jeszcze dwa, albowiem ruch towarowy jest dość duży. Oddział przyjmuje przeciętnie miesięcznie 150 wagonów towarów i wysyła około 15 — 20 wagonów.

Sieć spółdzielni w powiecie jest dostateczna, a współpraca Oddziału z tymi Spółdzielniami jest b. ścisła. Pokrywają one 50 proc. swego zapotrzebowania na towary w zakupach w Oddziale, który pracuje wyłącznie ze Spółdzielniami, to też tzw. obroty szlachetne wynoszą 86 — 92 proc. Wyjątek stanowią jedynie artykuły monopolowe, które Oddział obowiązany jest rozprowadzać i wśród kupiectwa prywatnego. Charakter powiatu jest wybitnie rolniczy — przeważają gospodarstwa drobne od 2 do 5 ha. Stąd wypływa troska Kierownictwa Oddziału, aby drobnemu rolnikowi dać wszystko, czego wymaga jego gospodarstwo.

Rada Oddziałowa składa się z 15-tu osób i jest bardzo czynna. Prowadzi bibliotekę, zawierającą 12.000 tomów, przeważnie dzieł spółdzielczych. Oddział zatrudnia 54 pracowników, którzy stopniowo są przeszkalani na krótkoterminowych kursach „Społem" i przez S.K.K. Kierownikiem Oddziału jest od listopada 1945 r. p. Aleksander Górski pracujący w spółdzielczości od 1934 r. (a)

194

KĄCIK JĘZYKOWY

NASZ PIERWSZY KONKURS

Rozpoczynając kącik językowy, prosiliśmy Czytelników o współpracę w nim przez nadsyłanie swych uwag oraz zapowiedzieliśmy, że będziemy ogłaszali niewielkie konkursy językowe. Spełniamy zapowiedź i zwracamy się do Czytelników z następującą propozycją:

W podanych poniżej zdaniach prosimy podkreślić wszystkie wyrazy obce, wytłumaczyć ich pochodzenie i zastąpić je, jeśli to możliwe, słowami czysto polskimi.

I. RESZTKI STERCZĄCYCH MURÓW WARSZAWSKIEJ POCZTY GŁÓWNEJ BĘDĄ WYSADZONE W POWIETRZE, ABY NA ICH MIEJSCU MÓGŁ STANĄĆ NOWY IMPONUJĄCY GMACH, ZBUDOWANY W SPOSÓB NAJBARDZIEJ NOWOCZESNY.

II. NA ŚCIANIE WISIAŁ MINIATUROWY OBRAZEK W ZŁOCONYCH RAMACH, NIEZBYT WIDOCZNY ZDALA. PRZYJRZAWSZY MU SIĘ DOKŁADNIE, CZUŁEŚ W NIM RĘKĘ MISTRZA. OBRAZEK PRZEDSTAWIAŁ MALOWNICZY PEJZAŻ W SŁOŃCU ZACHODZĄCYM, KTÓRE KRYŁO SIĘ ZA HORYZONTEM, RZUCAJĄC OSTATNIE SZKARŁATNE BLASKI.

III. TREFNY ŻART TYMFA WART.

IV. TY HUNCWOCIE, TY ŁOTRZE, TY SZELMO! — KRZYCZAŁA ROZGNIEWANA KOBIETA, OKŁADAJĄC KIJEM MŁODEGO ŁOBUZA.

V. OSZCZĘDNA DZIEWCZYNKA KAŻDY UZBIERANY GROSIK SKŁADA DO SKARBONKI.

WZÓR ROZWIĄZANIA:
ZDANIE: Przy NIEDYSPOZYCJI żołądka można zażyć kropli MIĘTOWYCH.

NIEDYSPOZYCJA — wyraz pochodzenia łacińskiego (ew. francuskiego): „dispositio"; niedyspozycję można zastąpić słowami: niedomaganie, dolegliwość, słabość. MIĘTOWY— pochodzi od słowa „mięta", które jest wzięte z łaciny: „mentha" — roślina z rodziny wargowych. Wyrazu „mięta" zastąpić rodzimym nie można.

NAGRODY

Za poprawne i dokładne rozwiązanie wszystkich pięciu zdań przeznaczamy pięć nagród:

Nagroda pierwsze — 1.000 zł.
Druga i trzecia — książkowe.
Czwarta i piąta — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Nagrody będą przyznane przez losowanie. Termin nadsyłania rozwiązań upływa 20 października. Wyniki konkursu będą ogłoszone dn. 1 listopada. Na kopertach należy zrobić uwagę: „Konkurs językowy".

BAKAŁARZ.

Spółdzielnia Prac. Państw. Zakł. Przem. Bawełnianego w Pabianicach

Z inicjatywy i przy wydatnej pomocy Naczelnej Dyrekcji Państw. Zakł. Przem. Baweln. powstała w listopadzie 1945 r. Spółdz. Prac. Państw. Zakł. Przem. Baweln. w Pabianicach (ul. Marsz. Roli-Żymierskiego 6). Spółdzielnia nosi charakter zamknięty. Członkami jej mogą być tylko pracownicy P.Z.P.B. W obecnej chwili Spółdzielnia zrzesza 7.436 członków (90 proc. ogółu pracowników) prowadząc 5 sklepów (4 — kolonialno-spożywcze i 1 — tekstylny) oraz zatrudniając 47 pracowników. Obroty Spółdzielni w 1946 r. wynosiły 46 milionów zł. Na rok bieżący preliminowano je w wysokości 120 milionów, przy czym siedem miesięcy br. dały już 85 milionów zł. Zarząd Spółdzielni w osobach ob. ob.: Bronisława Dobronia, Jana Raduskiego i Henryka Pliszki harmonijnie współpracuje z Radą Nadzorczą, na której czele stoi ob. prezes Karol Adamkiewicz. (a)

192

SKLEROZA

Prosimy Czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności.

Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 300 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł otrzymał p. Kazimierz Uryga (Oddział „Społem" Limanowa) za nadesłanie notatki z Nr 261 (1006) „Głosu Ludu" z dnia 22 września b. r. pt.:

WOJSKA AMERYKAŃSKIE GWAŁCĄ STATUT TRIESTU

„Belgrad, 21.9 (Obsł. wł.). Dzienniki belgradzkie przytaczają nowe fakty, świadczące o gwałtach, jakich włoskie elementy faszystowskie dopuszczają się na demokratycznie nastrojonych Słoweńcach i Włochach w okręgach krainy Julijskiej.

W Grecji bandy uzbrojonych faszystów pięciokrotnie próbowały wedrzeć się do lokalu partii komunistycznej. Lokal partii broniony był przez grupę komunistów, a włoscy karabinierzy zadawalali się obserwowaniem toczącej się walki..."

Ciekawe co robią w Grecji włoscy karabinierzy? Czyżby Włosi znów wkroczyli do Grecji, a może jako obserwatorzy zagraniczni, by przyglądać się walce demokratów z faszystami? Biedna ta Grecja, każdy kto chce wchodzi do niej i przypatruje się walkom, jak na spektaklu.

(Zamieszczona w poprzednim numerze w dziale „skleroza" notatka pt. „Łowcy pająków" nadesłana przez p. Urygę pochodzi ze „Spólnoty", a nie z „Głosu Pomorza").

„Wrocławski Kurier Ilustrowany" w Nr 68 z dnia 21.9 br. w dodatku niedzielnym „Ekran Tygodnia" podaje wywiad przeprowadzony przez Jerzego Dostatniego z Parnellem, w którym czytamy:

— Proszę, oto nasz bilans za ostatnie 47 przedstawień. Wpływ brutto — 6.404.301 złotych, a wydatki wyniosły — 5.404.301.

Czyli na dwa miesiące dla 17 osób personelu pozostaje 787.806 zł — a więc przeciętnie 46 tys. zł na jedną osobę..."

Baletmistrz Parnell nie ma obowiązku znać się na buchalterii i bilansie, ale przeprowadzający wywiad dziennikarz powinien znać chociaż cztery działania arytmetyczne. (Nadesłał Edward Janczewski — Wrocław, ul. Chełmońskiego 21).

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"

Redaguje: Zespół redakcyjny

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8

Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.

TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715

Redakcja rękopisów nie zwraca

Prenumerata miesięczna 75 zł, pół roczna — 450 zł, roczna 900 zł.

Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766

Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.

Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.

W kolorze — 50% drożej

R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa Smolna 12 B-37751

CO Z NICH WYROŚNIE?

MECHANIK · GÓRNIK · WETERYNARZ · MARYNARZ · DZIENNIKARZ · MALARZ

Rys. M. Walentynowicz

VI KONKURS „TYGODNIA"

na rozrywki umysłowe

W numerze 38 (62) „Tygodnia" rozpoczęliśmy VI Konkurs naszych rozrywek umysłowych, który zakończy się dnia 23 listopada br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Su ma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 10 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu po jego zakończeniu wytypują trzy najlepsze zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW POZIOMYCH:

A. 1. Nazwa Antychrysta. A. 7. Nazwa pustyni w Azji Środkowej, pokrytej słoną gliną. B. 3. Roślina sasanka. C. 1. U starożytnych machina wojenna. C. 7. Wyspa na morzu Egejskim. D. 1. Plemię Indian Am. Płd., zamieszkujące Ziemię Ognistą. D. 5. Zdrobniałe imię żeńskie. D. 9. Niem. wschód. E. 1. Badacz natury, przyrodnik. F. 1. Inicjały słynnego skrzypka czeskiego, 1857 — 1925 r. F. 4. Motyl z rodz. południc. F. 10. Symbol chemiczny pierwiastka rutenu. G. 1. Człowiek krzepiący moralność. H. 1. Papuga. H. 5. Góra w Azji Mniejszej, na płd. od ruin starożytnej Troi. H. 9. Nadzorca w Turcji. I. 1. Zbiór rzeczy, żywności, przygotowanych i zachowanych do przechowania. I. 7. Ang. milczący. J. 3. Miasto w stanie Pensylwanii (St. Zjedn. Am. Płn.). K. 1. Miasto w Mezopotamii nad rz. Tygrysem. K. 7. Część ruchoma w prądnicach, wariometrach.

ZNACZENIE WYRAZÓW PIONOWYCH:

1. A. Zmiana nazwiska, przez przekład na inny język. 2. C. Powtarzanie tych samych wyrazów na początku kilku zdań po sobie idących. 3. A. Polityk francuski, ur. 1749 — 1833. Min. sprawiedliwości po Dantonie. 3. G. Miasto w Estonii. 4. A. Zaimek. 4. E. Dopływ Oki. 4. I. Lewy dopływ Renu. 5. A. Chrześcijanin nie należący do żadnego obrządku. 6. D. Malarz polski historyczny. Twórca obrazu „Śmierć Czarnieckiego", wyst. w Krakowie w 1875 r. 7. A. Publiczna gra hazardowa podczas wyścigów konnych. 8. A. Nazwa złego ducha u Indian brazylijskich. 8. E. Znana marka aparatów radiowych. 8. I. Miasto w Finlandii. 9. A. Jedna z wysp należących do Dodekanezu. 9. G. Gatunek narcyza. 10. C. Część stroju kawalerzysty. 11. A. Artysta, zajmujący się odnawianiem dzieł sztuki.

Ul. L. Jasiński

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11
A						■					
B		■								■	
C						■					
D				■				■			
E											
F			■						■		
G											
H				■				■			
I						■					
J		■								■	
K						■					

Ul. W. Wołoszyńska

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadkę dziesiątą, zamieszczoną w nr 39 (63) odgadło 271 osób. Rozwiązanie brzmi:

„Nie kładź palca między drzwi"

W różnych okolicach kraju przysłowie to używane jest w licznych odmianach, przeto wszelkie odchylenia od powyższego uznano za dobre. Za błędne uznano następujące odpowiedzi: „Kto puka, temu otworzą", „Pukajcie (kołaczcie), a będzie wam otworzono", „Pukać w otwarte drzwi", „Gość w dom, Bóg w dom", „Palcem zamka nie otworzysz", i „Trzy razy pomyśl, po tym zrób".

W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE:

Witold Barylewski — Biała Podlaska, ul. Stodolna 20 m. 2;
Jacek Murkociński — Rzeszów, ul. Grunwaldzka 21;
Dominik Maciołek — Podobowice pow. Żnin;
Stanisław Śliwa — Spółdzielnia Roln. Handl. „Kosa" Limanowa;
Władysław Dryglak — wieś Dworzyska, poczta Izbica nad Wieprzem, skrz. poczt. 12;

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Lech Grochowski — Warszawa — Praga, ul. Łochowska 29 m. 18;
Halina Paskówna — Olsztyn, ul. Mochnackiego 1;
Alfons Kowalski — Nowe Miasto Lubowskie — Aleje;
Danuta Kaczmarkówna — Wągrowiec, ul. Gnieźnieńska 24;
Jerzy Chomicki — Lublin, ul. Szopena 26;
Loda Podhorecka — Szczecin, Al. M. Buczka 24 c. m. 11;
Kazimierz Suchy — Chełmża pow. Toruń, ul. Toruńska 35;
Kazimiera Twardowska — Nowy Sącz, ul. Kraszewskiego 34 m. 6;
J. Suchorowski — Radom, ul. Moniuszki 20 m. 4;
Bogusław Michalski — Starachowice, ul. Dol. Kolonia Robotnicza nr 69/10 pow. Iłża.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

Powyżej zamieszczamy zagadkę nr 12.

Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 20 października br. Wśród czytelników, którzy nadeślą dobre odpowiedzi, rozlosowanych zostanie

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Rozwiązanie zagadki jedenastej w następnym numerze.

Sprostowanie

W Nr. 40 (64) „Tygodnia" w dziale rozrywek umysłowych chochlik drukarski sprawił, że do „Zadania głoskowego" doczepiono tytuł „wirokrzyżówka" i oprócz tekstu do podanego rysunku podano tekst do wirokrzyżówki. Wobec tego wyjaśniamy, że rysunek przedstawia „zadanie głoskowe" i tekst pomocniczy do rozwiązania jest wierszowany i zaczyna się od słów: „W figurze, jaką dany rysunek przedstawia" itd.

Karol Małcużyński

MAŁY REPORTAŻ Z DUŻEGO ŚWIATA

Literatura, film i wspomnienia mają jedną wspólną cechę: w podobny sposób zniekształcają rzeczywistość. Słyszę już głosy oburzenia na tak barbarzyńskie i niedopuszczalne uogólnienie: „Jakto? Literatura zniekształca rzeczywistość? O jakiejże to literaturze mowa? Widocznie łaskawy pan zna tylko kiepską literaturę". Ktoś inny ująłby się za filmem, ktoś inny wreszcie, trochę może sentymentalny, za wspomnieniami.

Tymczasem, rozważywszy sprawę tak zupełnie bezstronnie, będziemy musieli uznać słuszność „barbarzyńskiego uogólnienia". Chodzi mi w tej chwili zresztą o całkiem konkretny przypadek. Nie będę mówił o tym, jak to literatura, film i wspomnienie ludzkie wypacza pierwszą miłość, pierwszą kobietę i pierwszego papierosa. Nie myślę też o „fałszywym obrazie współczesności" lub o „deformowaniu prawdziwego przebiegu walki społecznej". Zbyt wysokie to rejony dla „małego reportażu".

Myślę o obrazie, który szaremu człowiekowi z szarego mieszkania na ulicy Szarej kojarzy się ze słowem „zagranica". Chcę parę słów poświęcić myślowym szablonikom, jakie pojawiają się nam przed oczyma natychmiast, gdy ktoś rzuci słowo: „Paryż", „Italia" czy „Ameryka". Do urobienia tych szabloników przyczyniła się m. inn. literatura i głównie — co tu ukrywać — kiepska literatura. Dodajmy do tego — uderzywszy się w piersi — także i kiepskie dziennikarstwo. Paskudny to jest zwyczaj błyskawicznego kojarzenia Londynu z przymiotnikiem „mglisty", Rzymu ze słówkiem „wieczny", a Paryża z określeniem „frywolny" lub — o zgrozo „rozpustny".

W analogiczny sposób nazwy nieznanych nam miast i krajów kojarzą się w myśli z tzw. odkrytkami, a więc przy rozmowie o Paryżu, trudno nam się powstrzymać od wizji wieży Eiffla i Łuku Triumfalnego, przy wzmiance o Marokku widzimy natychmiast brodatego i łyskającego zębami Araba, ściskającego w stosownym miejscu półnagą Arabkę (czyli sami o tym nie wiedząc, spostrzegamy obraz Styki), po słowach zaś: Nowy Jork przewija się nam w mózgu — bądźmy szczerzy — nieuchronnie widok kilkudziesięciu brzydkich drapaczów chmur od strony morza i Posągu Wolności.

Prawem bezwładności myślenia rozszerzamy te szabloniki i na ludzi, na cudzoziemców, których w Polsce obdarzać skłonni jesteśmy przywilejem pisania przez wielką literę. Już samo słowo „cudzoziemiec" ma posmak oryginalności, egzotyzmu, budzi zainteresowanie — szczególnie u płci pięknej. Przechodząc do szczegółów: Anglik będzie oczywiście flegmatyczny i w ubraniu w wielką kratę, Francuz mały, czarny, ruchliwy i w berecie na głowie, Amerykanin żuje gumę, trzyma nogi na biurku i kapelusz zsuwa na tył głowy, Hiszpana zaś ujrzymy w kostiumie torreadora i to tego z „Carmen".

Dla utwierdzenia tych szabloników pomagają wspomnienia — za pośrednictwem tych osób, które z zagranicy powracają. Brak zmysłu obserwacji, pryncypialność sądu i chęć zaobserwowania tego, co się spodziewało, wpływają znakomicie na „autorytatywne" potwierdzenie znanych już schematów i „odkrytek".

Jak silnie te wszystkie nawyki tkwią w każdym z nas, miałem sposobność przekonać się na własnej skórze, gdy poraz pierwszy wyjeżdżałem zagranicę i poraz pierwszy oglądałem Paryż, Monte Carlo, Londyn czy Moskwę.

Przypominałem sobie wtedy często owego snoba z anegdotki, który mówił po powrocie do Rozpędzichowa o Paryżu: „Ach, moja pani. Cóż to za miasto. Niech pani dobrodziika sobie wystawi, że tam nawet dorożkarz mówi po francusku!".

Nie tylko dorożkarz, mili państwo. Żebrak w Paryżu też mówi po francusku. A Anglik, to nie tylko elegancki komiwojażer, ale także usmolony robociarz, obdarty śmieciarz, szukający przymrużonym wzrokiem krótkowidza, niedopałków na brudnej ulicy, to także pijany i awanturujący się żołnierz, o nocnej godzinie, przed którym w popłochu ustępują zastrachani Berlińczycy. Przecudna, promienna i kolorowa Riwiera — to nie tylko wille miliarderów, palmy, drzewa cytrynowe, luksusowe jachty i opalone na brąz półbogi czy półboginie z ilustrowanych magazynów. Często się o tym wszystkim zapomina, bo cholernie gryzą komary, przed którymi nie chronią nawet siatki w oknach. Słynne miejscowości na Cote d'Azur, na Błękitnym Wybrzeżu Francji — Nicea, Cannes, Juan - les - Pins, Menton — to nie tylko kasyna gry, bezszelestne limuzyny i najpiękniejsze kobiety.

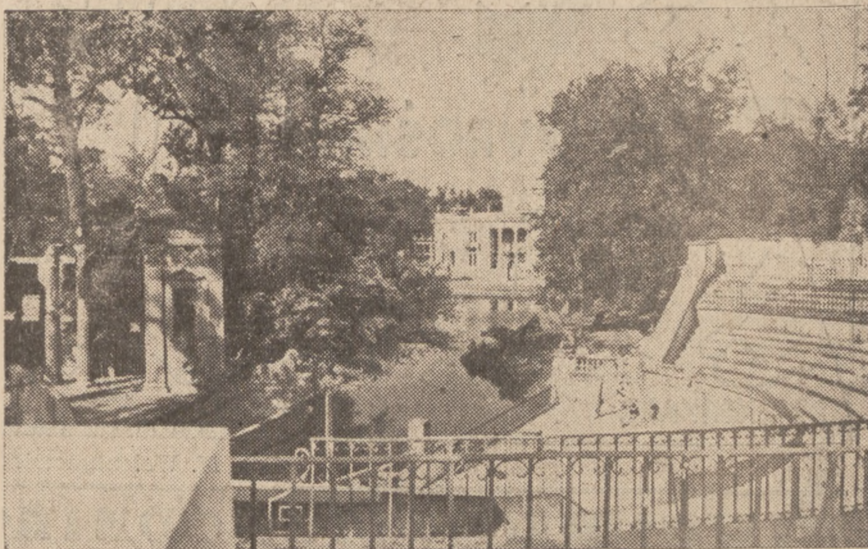
Wierzyć oczom nie chciałem, gdy widziałem tam plaże nadmorskie. Wąziutki dwu - trzymetrowy skrawek ziemi zasłany rozpalonymi kamieniami i żwirem. Proszę na takiej plaży poleżeć dziesięć minut, a będziecie wzdychać do mięciutkiego piasku Helu, Jastarni czy Karwi. Co tam zresztą Karwi! Będziecie marzyć o plaży w Pucku, na której wprawdzie położywszy się w poprzek, musicie moczyć w morzu — zależnie od pozycji — albo głowę, albo pięty, ale na której przynajmniej jest miękko.

Na Riwierze jest zaledwie parę malutkich plaż piaszczystych, usypanych sztucznie i z wielkim mozołem. Dostać się do morza trudno, jeżeli się nie lubi deptać po bliźnich.

Tak, tak, proszę państwa. Nie wszystko złoto, co się świeci. Charles Boyer też nosi długie, ciepłe kalesony.

TEATR NA WYSPIE

W ŁAZIENKACH BĘDZIE ODREMONTOWANY



Teatr na wyspie, w głębi Pałac Łazienkowski



Fot. Film Polski

Jedna z figur zdobiących ten jedyny w swoim rodzaju teatr

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W konkursie ogłoszonym w Nr 38 (62) „Tygodnia" na określenie prawidłowe sceny mitologicznej przedstawianej na znaczku, wzięło udział trzynaście osób, z których osiem podało bezbłędnie odpowiedzi określając, że bohaterem porwania był Ganymedes królewicz trojański, który swą nadzwyczajną urodą zwrócił uwagę bóstw olimpijskich, które uznały, że piękny młodzieniec powinien im usługiwać, podczas uczt, podawać bogom ambrozję i nalewać im nektar. Dlatego Zeus zesłał orła na ziemię, lub jak niektórzy podają, sam w postaci orła zleciał z Olimpu na ziemię i uniósł z sobą urodziwego Ganymedesa.

Nagrody książkowe w drodze losowania otrzymali:

Bogdan Kalinowski — Oleśno śl., ul. Mieleckiego 7.

Jerzy Jakubowski — Działdowo, ul. Księżodworska.

Danuta Bydłowska — Miłosław Wlkp. (Parcele) ul. Wrzesińska 12a.

Ponadto dobre rozwiązania nadesłali:

Stanisław Handke — Biechowo, pow. Września.

Zdzisław Fischbach — Września, ul. Sienkiewicza 20.

Halina Braumanowa — Gorlice, ul. 3-go Maja 16.

Julian Rutkowski — Kraków, Okr. Dyr. Pocz i Telegrafów.

Kazimierz Kranzowicz — Swoszowice k/Krakowa.

Nagrody książkowe wyślemy pocztą.